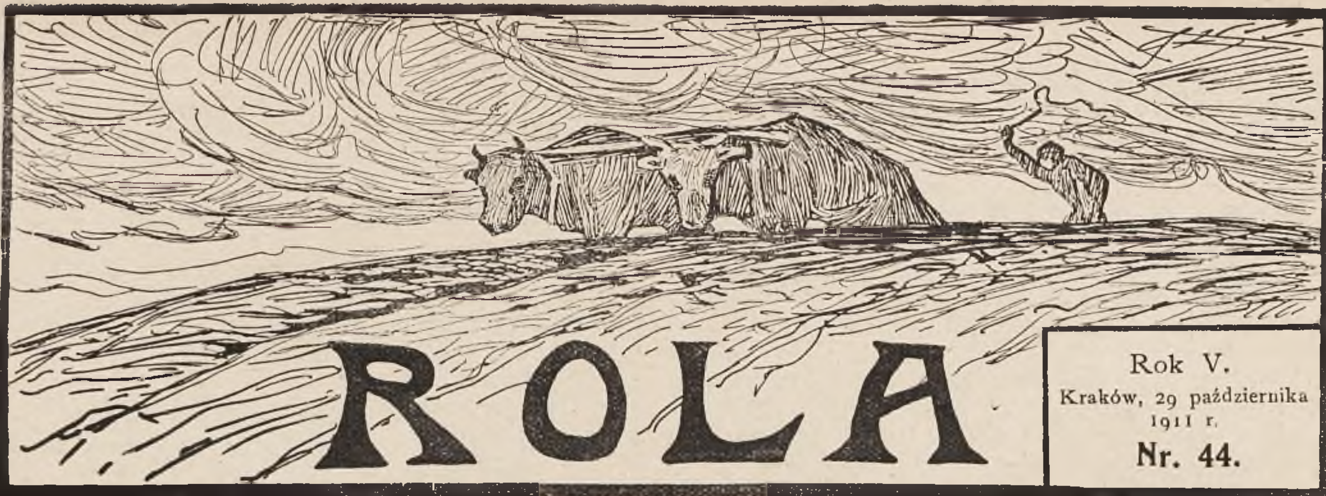


Rok V.
Kraków, 29 października 1911 r.
Nr. 44.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

NA GROBY!



Zbliża się uroczystość smutna, ale przytem miła dla każdego chrześcijanina: Dzień Zaduszny. W dniu tym z miłością wspominamy tych, którzy nas wyprzedzili w drodze do kresu na tym padole łez. Z miłością wspominamy tych, których losy na drugim świecie jeszcze nam nieznane. Pobożni chrześcijanie spieszą w Dzień zaduszny na cmentarz, stroją groby kwiatami i modlą się za umarłych.

»Miłość nie ustaje nigdy«, mówi św. Paweł, bo miłość ma źródło swoje w Bogu, który nas zawsze kochał i kocha. Ta miłość dowodzi nam, że po złożeniu ciała do grobu nie wszystko się kończy, jak to twierdzą niedowiarki.

Ta miłość daje nam pewność, że istnieje jeszcze zmartwychwstanie i spotkanie się poza grobem. Dlatego idą tysiące ludzi w tym dniu na groby krewnych, aby tam zapalić światło wiary i położyć kwiaty miłości.

Smutne to miejsce, napełniające bojaźnią i trwogą a zarazem czcią i poszanowaniem tego, kto je zwiedzi Bo tu cel nasz ostatni. Tu bogaty i ubogi, dygnitarz i prostaczek równy los dzielą z sobą, kiedy ich dusza stanie przed Trybunałem Najwyższego.

Pod cieniem brzozy żałobnej, wśród tych grobów i krzyżów tak cicho, tak spokojnie! Mimo woli przytłumiamy głos nasz, wstrzymujemy w piersi oddech, by nie przerwać tej ciszy, by nie przebudzić tych, którzy tu śpią tak błogo.

I stawa przed oczyma naszemi znikomość ludzka, a okazuje się w całej pełni majestat Boży, przed którym schylamy czoło i na kolanach cichą ku niebu ślemy modlitwę o spokój święty dla dusz tych, których ciała w tych grobach spoczęły.

W chwili, w której idziemy modlić się na groby rodziców, krewnych i przyjaciół, nie zapomnijmy przedewszystkiem, że prócz grobów rodzinnych mamy wszyscy jednę wspólną mogiłę, jeden wielki, bardzo wielki grób, w którym spoczywa Ojczyzna nasza. Jest zaiste dzisiaj ta cała nasza ziemia polska przepleciona jakoby wieńcem mogił, z których każda droga sercu naszemu. Śpią w nich hufce tych, co legli za kraj w boju krwawym, nie doczekawszy się lepszej przyszłości. Gdzież takich mogił niema?

Pełno ich na Sybirze, mamy je na polach Racławic, pod Maciejowicami, Grochowem, Stoczkiem, Ostrołęką, Ignacewem, Sokołowem, Miłosławiem, Środą, Książem, Bukiem i w niezliczonych innych miejscowościach. Mamy nadto wszędzie na cmentarzach pełno grobów dzielnych obywateli i gorących patryotów.

Mamy w Krakowie na Skałce »Groby zasłużonych«, groby tych, którzy całe życie oddali narodowi na usługi i służyli mu każdem tchnieniem swem.

Mamy i w Poznaniu groby królów naszych, Mieczysława i Bolesława Chrobrego, a w Krakowie w podziemiach Wawelu grób naczelnika narodu Tadeusza Kościuszki, grób nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza, groby Jagiellonów, Batorych, Wazów, Sobieskich i innych, które po wiek wieków świadczyć będą o niezagasłej sławie i dawnej wielkości i świetności Polski, oraz przypominać będą te czasy, w których i nasz naród potężnym był i przed którym czołem bili inni mocarze.

Do tych to grobów niech wzleci w Dzień Zaduszny myśl każdego Polaka, a przy nich nie potrzeba nam stawać z lamentem, ze skargą i łzą próżno straconą, lecz z uczuciem wzniosłej dumy narodowej. Niech każdy czerpie z tych grobów podnietę do wytrwałej pracy dla naszego dobra w myśl poety:

> Groby wy nasze, ojczyste groby,
> Wy życia pełne mogiły,
> Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,
> Lecz twierdzą siły!

Czerpmy z grobów tych otuchę, że z popiołów poległych w walkach za ojczyznę; że z popiołów tych, którzy ukochali ziemię swoją; że z popiołów tych, którzy słowem nieśli otuchę zbolałem dzieciom tej Ojczyzny — że z popiołów tych powstanie Mściciel, który zetrze kajdany nałożone nam przez naszych wrogów.

Rozbójnicze gniazdo.

XVII

Janasz umiera. — Odwiedziny u chorego. — Wskrzeszony do życia. — Wiadomość o zwycięztwie wiedeńskiem.

Nazajutrz dodnia potrzeba było powracać kasztelanicowi i choćby się chętnie jeszcze zatrzymał, musiał rad nierad wyruszyć.

Znużone konie i ludzie wymagali tu spoczynku choć przez dzień jeden. Na podziękowanie Bogu za ocalenie cudowne, posłała miecznikowa piękny dar do klasztoru, prosząc o wotywę dziękczynną nazajutrz. Ksiądz Żudra napisał list do księdza przeora Zająca a Nikita poniósł go do dnia do Dominikanów.

Właśnie wybierano się na mszę, gdy długo z powrotem napróżno oczekiwany Nikita przywlókł się z klasztoru, ale tak posępny i przygnębiony, jakby go tam jakie nieszczęście spotkało.

— Cóż ty mi tam niesiesz, że się tak zbierasz, jak czajka za morze — spytał kapelan. — Cóż tam?

— Wszak-ci to nasz Janasz bez nadziei życia leży u Dominikanów i już go słyszę na śmierć dysponowali. Wpuścili mnie do izby, gdzie leży; nie poznał, a ja jego, gdybym nie wiedział, kto wie, czybym też mógł poznać. Przyszła jakaś zła gorączka, choć ratunek był wszelki, zapóźno pono!

I zapłakał Nikita. Wszczęła się tedy sprzeczka, czy mówić lub nie pani miecznikowej. Szeptali tak po cichu, gdy drzwi, pod któremi stali, otworzyły się i z załamanemi rękami wypadła z nich Jadzia zapłakana.

Rzuciła się do Nikity.

— Widziałeś go?

Dworak się zmieszał, widząc, że został podsłuchany, nie wiedział, jak odpowiedzieć. Jadzia krzyknęła i pobiegła jak nieprzytomna do matki. Właśnie się miecznikowa wybierała z różańcem i książką do kościoła.

— Co ci jest! Jadziu! na rany boże!

— Matko! On umiera! — zawołała, ręce łamiąc w rozpaczy i padając na kolana.

— Kto?

— Janasz.

Miecznikowa stała osłupiała, gdy wbiegł ksiądz Żudra, a za nim Nikita. Odkryło się wszystko.

Strwożona sama, natychmiast zaprzęgać kazała pani Zboińska; zamknęła jednak wprzód drzwi i zostawszy sama z córką, usiłowała ją utulić. Gdy się to nie udawało, miecznikowa mocno zmieszana, przerwała zaraz rozmowę, otarła oczy Jadzi i konie zaprzągać kazała. Całą drogę jechały milczące, matka słyszała łkania córki i udawała, że nie wie o nich. Zajechał wózek wprost przed kościół, gdy na wotywę uroczystą dzwoniono, weszły więc zaraz i poklękły. Przez cały czas nabożeństwa Jadzia miała głowę wspartą o ławkę i płakała.

Najgorsza chwila nadeszła; pragnęła pani Zboińska widzieć chorego, a córkę zostawić, aby jej oszczędzić bolesnego wrażenia, lecz Jadzia stanowczo się oparła, poczęła ją całować po rękach i miecznikowa, zaleciwszy spokój, musiała wziąć ją z sobą.

Janasz leżał w osobnej celi. Była ona maleńka, o jednem oknie, z prostym tapczanikiem i stolikiem. Braciszek nowicyusz siedział przy chorym, odmawiając różaniec. Smutny nad wyraz widok uderzył ich oczy. Wyżółkły, wychudzony, z zamkniętemi powiekami, z otwartemi usty, z obwiązaną głową, Janasz leżał na poły już umarły. Na stoliczku stała gromnica zagasła. Przed kilku godzinami dysponowano go na śmierć, choć mało miał przytomności. Na obnażonej piersi widać było blizny od strzał tatarskich i medalik od Jadzi. Miecznikowa i Jadzia stanęły w progu, ale dziewczę zapomniało o wszystkiem, wyrwało się, przypadło do łóżka, poklękło i zwieszoną stygnącą rękę chorego wzięło w gorące dłonie.

Umierający drgnął, poruszyła się głowa, przymknęły usta, powoli ociężałe podnosić się zdawały powieki. Cichym głosem, jakby go napowrót powoływała do życia, Jadzia szepnęła:

— Janasz! Janasz!

Głos ten, zaledwie dosłyszany, wśród ciszy klasztornej doszedł do ucha chorego, Janasz poruszył się.

— Janasz! — głośniej poczęła wołać Jadzia, prawie rozkazująco.

Chory otworzył oczy, powiódł wzrokiem błędnym, źrenice blade zatrzymały się, wlepiły w twarz Jadzi, i zdając się czerpać z niej siłę do życia, coraz więcej otwierały. Błysk jakiś zaświecił w nich, jakby promieniem odbitym od oczu Jadzi. Uczuła zimną rękę jego drżącą w swych dłoniach. Głowa podnosiła się, dźwignęła, sen zdawał się rozpraszać. Chory spoglądał wkoło, nie dowierzając sobie. Po chwili, jakby znużony, zamknął powieki, padł znowu i westchnienie ciężkie wyrwało mu się z piersi. Usta chorego poruszyły się.

— Kto mnie woła?

— Ja, siostra — zawołała Jadzia — ty musisz żyć! ja nie chcę, byś ty umierał! Janasz!

Ostatni wykrzyk był pełen boleści i błagania. Miecznikowa stała bezsilna; łzy jej ciekły po twarzy, chciałaby była odwołać córkę, czuła się przykutą do ziemi, patrzyła jak na cud, na to wołanie do życia, płynące z serca i dokonywujące cudów w jej oczach.

Korczak zerwał się i siadł, wstrząsnął cały. — Oczy otwarły się wielkie, ręką potarł czoło, patrzył i poznawał miecznikową, Jadzię, ale nie mógł myślą pochwycić zerwanej nici żywota.

— Janasz, ty będziesz żył! — głośno poczęła Jadzia — ty musisz żyć! ty nie umrzesz!

Chory poruszał się, jakby bronił nakazowi, jakby mu od progu śmierci ciężko było powracać do życia; lecz przytomność, siła, oddech, ożywiały już tego, który był trupem prawie przed chwilą.

Miecznikowa przystąpiła z kolei.

— Jesteśmy przy tobie, Janaszku — rzekła — nie opuścimy cię. Bóg łaskaw, siły ci wrócą. Masz opiekę, nie jesteś sam. My z tobą.

Oprzytomniały milczał długo.

— Gródek! klasztor! zabili Tatarowie! nie wiem, zapomniałem — odezwał się — czyż trzeba żyć? Nie mogę, wstać nie mam siły, ale będę posłuszny, pani każe jechać? ja jadę, za kraj świata. Nikita, konia! Gdzie ja jestem?

Jadzia poczęła go uspokajać.

— Odpocznij, będziemy nad tobą czuwali, nie pojedziesz sam, z nami, ale trzeba wyzdrowieć.

Nie mógł się jednak długo utrzymać i choć ręką opierał się o ścianę, opadł na poduszki. Braciszek aptekarz, który przed chwilą stanął w progu i przypatrywał się tej scenie, wsunął się teraz powoli, niosąc napój, który naprędce przyprawił.

— Bóg łaskaw, cud, przesilenie, trzeba mu dać pić — rzekł, i podał kubek.

Jadzia wzięła go z rąk księdza i zbliżyła się do chorego. Pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Janasz, trzeba to wypić.

Wyciągnął drżącą rękę, szukając kubka, ale Jadzia sama przyłożyła mu go do ust spiekłych,

Janasz otworzył oczy, wlepił je w nią z zachwytem niewysłowionym i począł pić, i wypił do dna. Naówczas przymknęły mu się oczy.

— Teraz trzeba mu dać zasnąć — szepnął braciszek — a ja pozostanę przy nim teraz.

Skorzystała z tego miecznikowa, aby Jadzię pochwycić i odciągnąć od łóżka. Dała się, nic nie mówiąc, zabrać, tylko z progu spojrzała jeszcze na usypiającego. On, jakby poczuł ten wzrok, otworzył oczy, uśmiechnął się łagodnie i zamknął powieki.

W korytarzu stał ksiądz przeor Zając, który pokornie zapraszał miecznikową dla odpoczynku do siebie. Byłaby może odmówiła, chcąc odpocząć swobodniej w gospodzie, lecz Jadzia się chwiała na nogach, jej potrzeba było przyjść do siebie.

Od przeora dowiedzieli się szczegółów o chorobie Janasza, który ledwie się przywlókł z gorączką do miasteczka i obległ w gospodzie. W rozmowie ksiądz Zając słowo rzucił.

— Wiekopomne Janowe zwycięztwo.

— Jakie? — podchwyciła miecznikowa, poruszając się na krześle.

— A więc wielmożna pani dobrodziejka nic dotąd nie wiesz? — zawołał ksiądz Zając — i ja będę tak szczęśliwy, że ją pierwszy o tem uwiadomię... Doszła tu do nas radosna nowina przez kresy lwowskie, że król nasz Jan, zaledwie pod Wiedeń przybywszy, *venit, vidit, vicit!* Turków siłę nieprzeliczoną, która Wiedeń oblegała, pobił na głowę i rozpędził; niezmierne skarby dostały się w nasze ręce. Wzięta rękami dzieci naszych wielka chorągiew proroka. Bóg dał nam tryumf w obronie Ewangelii!

Ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk, ręce dziękczynnie się złożyły.

— Możeż to być? — wołała pani Zboińska.

— Rzecz jest pewna, bo do królowej jejmości przybył goniec z listem, który król pisał z namiotu wezyra. Po całym kraju biegają gońce, wszystkie kościoły rozlegają się pieśnią św. Ambrożego dziękczynną, co żyje, cieszy się i raduje, że nam dane było skruszyć tę potęgę i krwią naszą krzyż Chrystusa od zniewagi obronić.

Radość i uniesienie ożywiły wszystkich i gdyby nie choroba Janasza, miecznikowa byłaby biegła coprędzej do domu, aby coś więcej dowiedzieć, szczególniej o mężu, który był przy boku króla.

W powrocie miecznikowa była dwojako wzruszona: otrzymaną wiadomością i widokiem, jaki przed oczyma miała. Jadzia chmurna, zapłakana, milcząca, jechała, jakby się wstydząc tej chwili uniesienia u łoża chorego.

Nim wieczór nadszedł, dwa razy miano wiadomość z klasztoru. Przybył Seniuta od brata i doniósł, że chory się przebudził i dosyć długo mówił z Nikitą, że się miał widocznie lepiej. Potem przybył sam Nikita z weselszą twarzą, zapowiadając także, iż »panicz« teraz pod wieczór czuł się nawet daleko silniejszym i jakby z grobu powstał, bo już się ze światem pożegnał był na wieki. Zabrawszy dla chorego, co tylko sądził, że mu potrzebnem być może, wybrał się do niego na noc i już miał odchodzić, gdy Jadzia potajemnie wybiegła i szepnęła mu, aby od niej pozdrowił Janasza jeszcze. Na znak dała mu, nie mając co, chusteczkę, którą zdjęła ze szyi. Nikita rozczulony pocałował ją w rękę, chustkę schował jak najtroskliwiej i czemprędzej się oddalił.

Nazajutrz rano Seniuta, nacieszywszy się bratem, siadł na koń, aby do domu powrócić. Miecznikowa niepewna była, co z sobą pocznie. Wczorajszy dzień uczynił ją posępną i zamyśloną, chciała jechać i wahała się, a nie śmiała, z Jadzią nie mówiąc wcale o Janaszu, ani o dalszej podróży. Unikała widocznie tego przedmiotu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Mojej matce w Dzień Zaduszny.

Śpisz snem śmierci, Matko w grobie?
Zbudź się, syn twój dziś przy Tobie,
To ja „Antoś“, Twoje dziecię!
Matko! źle mi; źle na świecie.
Nikt mię, jako Ty, nie kocha,
Cały ten świat to macocha!...
Twoje serce, chociaż w grobie
Więcej ciepłe dla mnie w Tobie...
Jak te serca, które żyją
Razem z moim sercem biją...
Matko! syn Twój dziś Cię prosi,
Darń grobowy łzami rosi,
Kiedy słonko co dzień zgaśnie
Przyjdź w noc każdą do mnie na śnie.
Rok już blisko, Matko miła,
Trzy razyś mię odwiedziła.
Czyż tam w niebie, Matko droga,
Przed obliczem będąc Boga,
Zapominasz ze świętymi,
Że sierotę masz na ziemi?
Dobranoc Ci, moja Matuś!
Odchodzi Cię już Twój „Jantuś“,
Ale ja tu wkrótce przyjdę...
Już Cię nigdy nie odejdę,
Grabarz łoże mi pościeli,
Razem — będzie nam weselej...

Jantek z Bugaja.



W Zaduszną noc...

Na groby spieszy lud
Ze smutkiem w głębi dusz...

Jesienny, smętny czas,
Praca i znojny trud,
Poległych Anioł-stróż
Na groby wiodą nas.

Za kraj przelali krew,
Zgnębił ich tyran wróg;
Lecz pomęczonych siew
Błogosławi Bóg...

W Zaduszną, cichą noc
Płynie tajemny szmer —
— To męczenników moc
Dysze wśród świateł skier.

I płynie skargi śpiew,
Cichy, żałosny dźwięk —
Nad wierzchołkami drzew
Szemrze cmentarny jęk.

Tysiące przeszli mąk,
By wznieść wolności znak:
Dziś drżą — bo widzą brak
Silnych do pracy rąk.

— A wróg z północnych stron
Podwaja czujną straż;
Zbliża się do chat, bram
I pragnie uśpić nas.

W Zaduszną cichą noc
Szmer nad cmentarzem mknie..
— To męczenników moc
Do walki hart nam szle...

Józef Jarmuła.

Na „Saksy“.

(Wrażenia z podróży Księdza Misyonarza).

Pojechałem »na Saksy«. Nasi księża co roku tam jeżdżą na misye do Polaków. Te apostolskie wycieczki urządza »Sodalicya Maryańska kapłanów krakowskiej dyecezyi«.

Podróż przez Górny Śląsk, a potem przez Saksonię nadzwyczaj nuży. Z okna pociągu widzi się dokoła tylko rozległe bez końca równie, a na nich rozkołysane łany zbóż i nic więcej, że aż się przykrzy ta jednostajność. Czasem tylko zamajaczy gdzieś z dali sina kępa drzew, lub zarysują się ostro na lazurze nieba śmigi wietrznego młyna.

»Maćkowych grusz« na miedzach, przydrożnych lip z Bożą Męką lub kapliczką, jak to u nas, tam na tych luterskich rozłogach się nie dopatrzysz.

Pośród złocistego migotu pszenicznych pól mienią się w dali do słońca jakieś wielkie czerwone plamy. To wsie niemieckie. Są one budowane na wzór miasteczek w ulice, a wszystko z cegły i dachówką kryte. Słomą kryć tam już nie wolno. To też starą, zbutwiałą już strzechę rzadko się ujrzy. A wszędzie porządek, aż miło spojrzeć! Nie widzi się tam wedle domowego obejścia gnijącej mierzwy i śmiecia, porozrzucanych statków gospodarskich, ani rozwleczonego i cuchnącego nawozu. Wszystko rzetelnie obmiecione, na swojem miejscu w porządku złożone; obory omurowane i torfem wyłożone a zmiecione na ulicy śmiecie jako nawóz do pola użyte.

— Mój Boże — pomyślałem — kiedy to u nas po wsiach tak będzie! W tym porządku widać dobrobyt i dostatek wszystkiego. A przecież ta ziemia, z której ci Niemcy tacy syci żyją, od naszej polskiej ziemi jest nieraz gorsza. Niemiec wypasiony swój kałdun ledwie uniesie, a nasz chłop zbiedzony, na przednowku dobrze pasa przyciąga. Niemcy gospodarzą umiejętnie, a nasi chłopi wrogo patrzą na wszelaką »umiejętność« i nowe sposoby w gospodarce. To też u nas nędza z ciemnotą się rozpiera a indziej dobrobyt i oświata. Brak nam tylko dobrych chęci i zrozumienia dobrej sprawy, a byłoby inaczej.

Pociąg mknie jak strzała, w mig przelatuje wieś, że tylko te krótkie spostrzeżenia stamtąd zabierasz, a w myślach je potem ważysz, gdy pociąg znów na te pola szerokie bez końca wpadnie i jak ten gad olbrzymi między łanami pszenicy a żyta się przewija. A jak pięknie te pola uprawne, jak troskliwie oplewione! Ostu, mlecza ni innego zielska czy chwastu tam nie obaczy. Widziałem kupki zgrabionego perzu, który sechł widać do słońca. Tam i ówdzie bowiem te kupki się paliły, a popiół rozsypywano po roli. Nawet szkodnikiem-chwastem umieją tam ludzie ziemię poprawić.

Po polach widzi się gromadki pracujących ludzi. Od Wrocławia spostrzega się już często i »naszych«. A z daleka ich już poznać! Po tym ruchu i zamachu przy robocie naszych od Niemców łatwo odróżnić. Nasz robotnik, jak się przysadzi z kosą czy motyką do roli, to to narzędzie jeno mu w garści furczy a on idzie przez to pole jak wicher jaki, że się wszystko przed nim słania. Kosi czy kopie zawzięcie, jakby w zapamiętaniu jakiem. Ale nie długo. Raz wraz postawa a ten zmęczony grzbiet przeciąga i na świat się ogląda. A Niemiec znowu, to jak maszyna jaka. Robi powoli, bez wysiłku a ciągiem, bez postawania. Taki to już duch, w każdym narodzie inny. Ale też nasi ludzie tam się wnet przeprzepracowują. Bo »postawać« Niemcy im nie dadzą, zwłaszcza gdy są dziennymi zarobnikami. To też skarżyli się potem biedaki przedemną, że »zarobić zarobią, ale nieraz to tą ostatnią już żyłą ciągnąć trzeba!« A każdy z nich przyznawał mi prawdę, że gdyby w swoim kraju tyle pracował, toby to samo a może i więcej zarobił. Ale cóż? Naszym ludziom podoba się coraz więcej gotowy grosz. Nasz chłop wtedy tylko panem, gdy mu w kieszeni brzęczy. — W dalszą przyszłość patrzeć on nie umie. W te nieprzebrane skarby w ojczystej ziemi ukryte uwierzyć nie chce. Jedzie wysługiwać się Niemcom, przywozi tych kilkadziesiąt marek, spłaci niemi podatek, przykupi coś z przyodziewy, i znowu nic nie ma. A ten zagon rodzimy, co go praojce jego karczom leśnym wydarli i co już tyle pokoleń odchował, leży ugorem i z roku na rok coraz więcej jałowieje. A gdyby on się do tego zagona tak rzetelnie przysadził, jak to tam »na Saksach« a tak go godnie obrobił, jak to u Niemców widział, hej, byłby też chlebuś obfity i przychowek jakiś a z przychowku i grosz gotowy na rozmaitą potrzebę!

Pociąg zwalnia biegu, zbliża się do jakiegoś miasteczka, bo widać fabryczne kominy. Mimo ostrzeżeń wypisanych na oknie, wychylam się z pociągu, by znów coś ciekawego ujrzeć. A są rzeczywiście ciekawości przeróżne. Przed miastem widzę jakiś kilkomorgowy ogród, podzielony w małe ogródeczki a w każdym ogródeczku altana. Na grządkach koło altany, wszędzie pełno kobiet i dzieci, widocznie plewią i podlewają. Zapytałem siedzącego obok mnie zaspanego Niemca, co to za ogródki. Poznał widać we mnie cudzoziemca, bo odezwał się z pewną wyniosłością i chwałbą:

— W naszych miastach i miasteczkach wszędzie są takie ogródki.

Zwróciłem baczniejszą uwagę na te ogródki przy dojeździe do każdego miasta. Wieczór się zbliżał, więc i ruch w tych ogródkach coraz więcej się wzmagał.

— A nie dałoby się u nas tak urządzić? Ej, nie! — pomyślałem ze wstydem. Rumieniec oblał mi twarz.

U nas takiej rzeczy urządzić niepodobna, bo u nas, aż wstyd jawnie to wyrzec, że u nas takie ogródki nie ostałyby się przed grabieżą! To tylko tam możliwe, gdzie naród umie uszanować cudzą własność. Tam ta żerdka jest tylko znakiem granicznym a nie zaporą przed szkodnikami. U nas trzaby zaraz stawiać kolczate płoty, chińskie mury budować a i temu dalby rady! Jacyśmy biedni przez to. Widziałem wszędzie w Niemczech drogi wysadzane drzewami owocowemi. Dostałe wiśnie aż się lśniły do słońca i budziły w człeku smakowitą ślinkę. A nikt po nie ani palcem nie ruszył. Chodził jakiś człowiek z drabiną i koszem, widocznie dzierżawca, i spokojnie owoc obierał. Uwijało się koło niego kilkoro dzieci, to im ta co marniejszą jagodę spuścił, ale tego, co w koszu było, nie tknęły.

A u nas? Pożal się Boże! Kiedym w kilka dni potem był w mieście M., przechodziłem obok sądu. Przed budynkiem ujrzałem kilkoro naszych ludzi.

— Co wy tu robicie w sądzie? — pytam.

Ze wstydem wyznali prawdę, a jam z boleścią wielką wysłuchał: — Byli karani za szkody polne, a głównie obrywanie owoców. A kara była surowa. Od Niemców zaś dowiedziałem się, iż przestępstwa tego dopuszczają się tam prawie wyłącznie — Polacy! Co za wstyd i hańba dla nas!

— Mój Boże! Przecież jesteśmy narodem katolickim a nie szanujemy siódmego przykazania Boskiego. To Niemcy, lutry obrzydłe, co się św. Matki Kościoła wyparli — mają być od nas uczciwsi?

Ks. Władysław Staich

OPOWIADANIE HARFIARZA.



Juliusz Słowacki, wieszcz narodu naszego, w przepięknych tragedyach chciał przedstawić przedhistoryczne dzieje Polski. W jednej z nich »Lilli Wenedzie«, uwidocznił walki Lechitów z Wenedami. Wenedowie mieli to być pierwsi mieszkańcy dzisiejszych ziem polskich, zaś Lechici najezdzcy. Po klęsce Wenedów, po uwięzieniu ich wodza Derwida, tak śpiewa stary harfiarz do jego córki Lilli:

— »Na ziemi i w niebie lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada! Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada otoczyła go z harfą jego złotą. Widzieliśmy to i bladzi zgryzotą rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięci«.

A na to Lilla Weneda, rzucając się ku starcowi, woła:

— Więc nie umarli? O mówcie mi jeszcze!...

Rzewną tę a tak piękną scenę przedstawił na umieszczonym powyżej obrazku sławny malarz polski Andriolli.

† Ksiądz Stanisław Stojałowski.

Po kilkotygodniowej rozpaczliwej walce ze straszną chorobą, rakiem żołądka, w dniu 23 października 1911 zakończył życie w Krakowie znany pisarz i przewódca ludowy, poseł ks. Stanisław Stojałowski. Życie to było pełne przygód, niezwykłe, odznaczające się zarówno czynami dobremi, jak nie pozbawione win, które popełniał w uniesieniu walki.

Ks. Stanisław Stojałowski urodził się w roku 1845 w Zniesieniu pod Lwowem. Rodzice jego mieli znaczny majątek szlachecki, potem dzierżawę w Galicyi wschodniej, następnie osiedli we Lwowie. — Z dzieci jedna z córek wstąpiła do klasztoru Felicyanek, syn, Stanisław, wstąpił do zakonu Jezuitów i w roku 1869 został wyświęcony na kapłana. W klasztorze Jezuitów przebywał cztery lata, poczem został księdzem świeckim. Przez kilka lat był wikaryuszem przy kościele św. Marcina we Lwowie; wtedy zaczął swoją działalność oświatową, mianowicie objął wydawnictwo pisemek »Wieniec« i »Pszczółka«, które prowadził do ostatnich tygodni życia. Po paru latach otrzymał probostwo w Kulikowie pod Lwowem i tam dalej pracował nad oświatą ludu. Jeżeli dziś istnieją pisma ludowe w Galicyi i mają coraz więcej czytelników, jest to zasługa w znacznej mierze Zmarłego, który lud polski uczył czytać gazety i przekonał, że czytanie jest potrzebą każdego człowieka. Polityką się wtedy nie zajmował jeszcze, myśląc tylko o szerzeniu oświaty.

Aliści wskutek różnych spraw osobistych, których osądzenie do ludzi dziś już nie należy, skoro Zmarły stanął już przed sądem Najwyższym, wystąpił przeciwko niemu konsystorz arcybiskupi. Gdy napomnienia nie pomagały, zawieszono go w godności proboszcza. Ten surowy krok sprawiedliwości rozdrażnił księdza, który odznaczał się gwałtownością usposobienia. Wszedł na pole walki politycznej i wypowiedział ją wszystkim władzom krajowym, duchownym i świeckim. W zapalczywości brnął nieustannie dalej, aż nareszcie doprowadził do tego, że papież za urąganie władzom duchownym i szerzone w gazetkach twierdzenia, sprzeczne z nauką Kościoła św., rzucił nań w roku 1897 wielką klątwę kościelną. Były to czasy straszne dla zbłąkanego księdza, atoli opamiętał się rychło, pokajał, pojechał do Rzymu, u stóp Ojca św. odwołał heretyckie twierdzenia, przeprosił biskupów i z zupełnem przebaczeniem Ojca św. powrócił do kraju jako nawrócony ze złej drogi.

Ale ta klątwa, która na nim ciążyła około roku, przyniosła mu wiele szkody. Odwrócili się od niego ci, których oświecał przedtem i organizował. Większość włościan z tego stronnictwa, które on stworzył, odłączyła się i pod wodzą jego ucznia, Jana Stapińskiego, utworzyła osobne stronnictwo, Stronnictwo Ludowe. Pozostała przy nim stosunkowo mała garstka t. zw. Stojałowczyków Ale i ten obóz malał coraz bardziej, każde wybory przynosiły większy uszczerbek w jego szeregach a przy ostatnich wyborach do Rady państwa nie uzyskał już mandatu nawet sam ks. Stojałowski. Sterany kłopotami i trudnościami pieniężnemi, w ostatnim roku zrzekł się wpływu politycznego i oddał resztę swoich zwolenników razem z gazetką stronnictwu narodowo-demokratycznemu. W parę miesięcy później śmierć położyła koniec jego życiu. Zrobił dla ludu polskiego i oświaty niemało, ale szczęścia dla siebie nie znalazł. Przeszkodził mu w tem charakter niepohamowany w gniewie i zawziętość polityczna, która niejednego odwiodła z chrześcijańskiej drogi: miłości bliźniego, jedynej drogi, która zbawia i szczęście zapewnia.

OD REDAKCYI.

Kalendarz obrazkowy „Roli" na r. 1912.

jest już całkiem gotowy i rozesłaliśmy go całorocznym prenumeratorom od numeru 1 do 700, którzy nadesłali prenumeratę całoroczną i po 50 halerzy na Kalendarz. Kalendarz wypadł większy niż zamierzaliśmy gdyż posiada 256 stron druku; cena pełna dla kupujących osobno, wynosi **1 Kor. 20 hal.** Kalendarze są zawinięte w dawniejsze numery „Roli" dla ochrony okładki. Przypominamy, że prenumeratorowie do liczby 2000 posiadają lepsze warunki do Podarku Szczęścia, gdyż co dziesiąty z nich otrzyma droższą i większą książkę do nabożeństwa p. t. „Wieniec nabożeństwa", wartości 2 Korony. — Co dziesiąty prenumerator po liczbie 2000 otrzymuje książkę do nabożeństwa p. t. „Kwiatek Seraficki" wartości 1 Korony. Kto zatem woli mieć możność wygrania większej książki niech się nie ociąga i zaraz przysyła prenumeratę całoroczną, zanim spis nie doszedł do numeru 2.000 co się stanie niedługo, w pierwszych dniach listopada. Pieniądze można przesyłać albo czekiem albo przekazem; przekazy otrzymujemy o dwa lub trzy dni wcześniej.

Wielu z naszych Czytelników pisze do nas często, że chcieliby chętnie numery „Roli" zbierać i na końcu roku wszystkie oprawić, aby mieć dla siebie i dla dzieci swoich raz na zawsze wielką książkę z obrazkami, ale nie mogą zebrać całego kompletu, gdyż numery pojedyncze albo im giną, albo się tak niszczą, że oprawiać ich nie warto. Niektórzy donoszą nam, że pokupowali sobie osobne teczki i w nich trzymają wszystkie numery, a na końcu roku oddają do oprawy. To jednak stosunkowo do tak taniej gazetki, jaką jest „Rola" za drogo kosztuje i dlatego nie każdy na ten cel chce wydać pieniądze. Ponieważ skargi te są bardzo częste, a chcielibyśmy zawsze dogodzić naszym kochanym Czytelnikom obmyśleliśmy sposób praktyczny przechowywania numerów. Mianowicie przygotowaliśmy pewien zapas ozdobnych

OKŁADEK DO „ROLI"

i te gotowi jesteśmy odstąpić każdemu prenumeratorowi po tej samej cenie jaka nas kosztuje, a że zamówiliśmy odrazu większą ilość, zatem okładka kosztuje mniej niż połowę tego, co każdy musiałby zapłacić, gdyby sam zamawiał dla siebie.

Okładka taka jest mocną teczką z płótna kolorowego Na środku brzegu okładki znajduje się wstążeczka do zawiązywania Prenumerator będzie przez cały rok mógł co tydzień składać numer po numerze, zawiąże wstążeczką i położy sobie gdzie na uboczu w spokojnem miejscu, n. p. na szafie. Po upływie roku będzie miał cały gruby tom, tak, jak nowy i albo zostawi rocznik w okładce, tak jak wkładał, albo zaniesie okładkę ze wszystkimi numerami do introligatora i każe sobie numery do tej okładki wprawić na stałe.

Pomimo że okładka jest cała z płótna i złocona a zatem jest bardzo mocna i elegancka, otrzymać ją może każdy prenumerator na rok 1912, który nadeszle na ten cel wraz z prenumeratą **tylko 50 halerzy,** poczem wyszlemy mu okładkę opłatnie Ci, którzy prenumeratę już nadesłali a chcą mieć jeszcze i okładkę, niech zechcą posłać jeszcze po 50 hal. Prosimy o pośpiech z zamówieniami, bo na początek zakupiliśmy tylko kilkaset

Skarb sieroty.

Wołali na niego Wawrzuś, a był sierotą. Ojciec jego śp. Matus był ubogim drwalem; przy ścinaniu przygniotła go sosna i zgruchotała mu piersi tak, że po kilku godzinach męczarni dusza jego opuściła ten padoł nędzy, pracy i łez. Cios ten straszliwy dotknął żonę Matusa Hankę na kilka tygodni przed urodzeniem Wawrzusia, który dlatego ujrzawszy światło dzienne, był pogrobowcem.

Biedna wdowa, nie mając własnego dachu nad głową, poszła do siostry Jagaty i szwagra Bartka na komorne. Oj, ciężkie to i łzawe czasy nastały dla wdowy i sieroty! Siostra, jak zwykle kobieta, litowała się nad biedakami i o ile mogła, łagodziła ich opłakaną dolę słowem i uczynkiem. Bartek zaś, chłop zły i popędliwy, a do tego pijak, znęcał się nad nędzarzami, wymawiając każdą łyżkę strawy, każdy kęs chleba a przezywając próżniakami i zawalidrogami. Oj! ileż to razy Bartek, po odwiedzeniu Jankla w karczmie, wróciwszy do chaty, wszczynał piekło, bił własną żonę, a wdowę i sierotę pędził precz z chaty, że oboje drżeli od zimna w szopie na kupie słomy.



Biedna wdowa ostatkiem sił wysługiwała się siostrze i szwagrowi a Wawrzuś musiał paść dwie krowy ciotki. Były to krówska zuchwałe i niesforne, które ciągle tylko znarowione biegały, robiły szkody i nieraz biednego Wawrzusia włóczyły za powróz po ziemi i narobiły mu sińców i guzów. W dodatku jeszcze rozgniewany, a najczęściej pijany, »swok« trzepał mu kijem na grzbiecie zgrzebną koszulinę i psuł równocześnie cielesną powłokę, która w miejscach uderzeń puchła i siniała.

W ciężkiej pracy, łzach i poniewierce wlokły się szare dni wdowy i sieroty, a Wawrzuś był już kilkuletnim pastuszkiem. Wtedy to stargana na siłach, wynędzniała i udręczona wdowa przeniosła się na mogiłki a Wawrzuś został sam na świecie, skazany na łaskę i niełaskę ciotki i »swoka«.

Biedactwo to było wielkie: oprócz zgrzebnego odzienia, które mu nieboszczka matusia własnemi rękami uszyła, miał jeszcze po tatusiu potarganą kożuszynę. W lecie nie okrywał zwykle niczem płowej rozwichrzonej czupryny, a na zimę miał wielką barankową czapkę, na której tylko zrzadka wznosiły się kępki wełny, jakby oazy na pustyni. Ludziska z politowaniem kiwali głowami, mówiąc:

— Oj, biedactwo to, biedactwo i głodne i bose i obdarte!

Lecz bardzo mylili się ludzie, bo Wawrzuś posiadał taki skarb, taki klejnot, któregoby nie oddał za wszystkie majątki świata! Śp. nieboszczka matusia, kobieta pracowita i pobożna, już od wczesnej młodości przyzwyczajała Wawrzusia do modlitwy, podarowała mu skromny drewniany różaniec z zawieszonym blaszanym krzyżykiem i na tym to różańcu nauczyła sierotę odmawiać pacierze. Różaniec ten chował Wawrzuś w potarganą szmatkę a potem za pazuchę z największą ostrożnością, ażeby żadne oko ludzkie skarbu jego nie podpatrzyło.

Bywało, że swok Bartek, pijany, wygrzmocił dokumentnie Wawrzusia lub wytargał za boże poszycie; wtedy chłopczyna z bijącem sercem, jak spłoszone ptaszę, uciekł z chaty, zaszył się w jaki niedostępny kąt, a wypłakawszy się serdecznie i dowoli i połykając łzy zamiast chleba, drobnymi i chudymi palcami przebierał paciorki różańca, odmawiając nabożnie Ojcze nasz i Zdrowaśki.

I wtedy jakaś niewysłowiona otucha wstępowała w serduszko biednego sieroty! Wyskakiwał raźno z ukrycia, głowę wznosił do góry, z rozpromienionem obliczem śmiał się do wróbli, świegocących na gałęziach garbatych wierzb i cichaczem skradał się do swokowej chaty, gdzie ciotka głaskała sierotę po głowie i wtykała kawałek chleba pokryjomu, w obawie przed złym i okrutnym swoim mężem, aby i jej się co nie dostało. I jak posępne i dżdżyste jesienne dni, tak wlokły się powoli pełne boleści godziny sierocie, przeplatane głodemi biciem, płaczem i modlitwą.

. . . .

W ponure i słotne październikowe popołudnie krowy pasły się na wygonie a mały Wawrzuś jak zwykle głodny i spłakany usiadł pod starą wierzbą i drżącymi z zimna palcami przesuwał ziarnka różańca. Krówska znarowione wpadły do sąsiedniej kapusty, poogryzały wiele główek a jeszcze więcej poprzewracały i podeptały. Ujrzał to zdala swok a wściekły z gniewu, przybiegł coprędzej i kijem dość grubym zaczął okładać biednego, małego sierotę. Wawrzuś jęknął najpierw głośno i cienko, jak młode kocie, potem ciszej, aż wreszcie ustał zupełnie a swok walił i walił, aż wyładowawszy gniew swój, zaprzestał bicia i wrócił do chaty.

. . . .

Wieczorem same krowy przywlokły się do stajni a o Wawrzusiu ani słychu. I noc już ciemna zapadła a nędzny barłóg sieroty leżał próżny i zimny. Nazajutrz sąsiadka Michałowa, wyszedłszy na wygon, ujrzała pod wierzbą łachmanami okrytą i skuloną postać Wawrzusia. W śmiertelnym kurczem ściśniętych i sinych palcach trzymał jeszcze sierota różaniec a pierwsze promienie wschodzącego jesiennego słońca odbijały się w martwych, przerażeniem rozszerzonych i szklistych źrenicach Wawrzusia.

Zaniesiono Wawrzusia na cmentarz i pochowano wśród mogił, gdzie spoczął na wieki wolny od gróźb i bicia a duszyczka jego poszła do tej Królowej Niebieskiej, którą tak ukochał za życia.

Teofil Tryczyński.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

III.

Rozmowa z hrabią zmęczyła mię i zirytowała do głębi. Przekonała mię ona, że Holm żeni się z Julcią dla pieniędzy i żałowałam bardzo, żem mu wprzódy nie powiedziała o zmniejszeniu się posagu Julci, dając mu tym sposobem łatwą sposobność wycofania się. Stało się jednak, i w tej chwili jedyną rozumną drogą było zwlekanie i czas. Postanowiłam więc termin ślubu odroczyć jak najdłużej.

Dla zrozumienia wypadków następnych należy, żebym opowiedziała rozkład naszych pokoi. Ja z Julcią zajmowałyśmy trzy pokoje na dole od tyłu zamku, z oknami wychodzącemi na ogród. Pierwszy pokój od biblioteki, która była tuż przy sali jadalnej, zajmowałam ja; następnie szedł wspólny nasz pokój pracy; dalej mieściła się Julcia, a za nią, w maleńkim pokoiku, garderobiana nasza Zuzia. Wszystkie te trzy pokoje szły rzędem przy sobie. Z mieszkania Zuzi prowadziły drzwi, w tej chwili zastawione szafą od apartamentów zajmowanych przez markiza. Przytaczam te szczegóły dlatego, że są ważne i niezbędne do zrozumienia następujących wypadków.

Otóż kiedy leżę z bolem głowy i rozmyślam, usłyszałam nagle głos Julci. Robił się już wieczór i mrok szary powoli zalegał kąty. Podniosłam się żywo i pobiegłam do Julci.

— Ach, to ty, Maryniu — rzekła — nie wiedziałam, że jesteś. Czy mówiłaś z hrabią?

— Mówiłam.

— I cóż? — zapytała ciekawie Julcia.

— Opowiem ci później, głowa mię teraz boli, niema zresztą nic ważnego.

— Głowa cię boli? mój Boże! a Zuzi niema.

— Czy chciałaś czego?

— Jeżeli możesz, bądź tak dobra i podaj mi wody, w pokoiku Zuzi stoi karafka.

Wszedłszy do pokoiku garderobiany, wśród ciszy panującej tutaj, usłyszałam wyraźnie dochodzące z mieszkania markiza głosy jego i Holma. Mówili szybko — i czuć było, mianowicie w głosie Holma, gniew gwałtownie tłumiony. Natychmiast przyszła mi myśl podsłuchać ich co było łatwem, usunąwszy nieco lekką szafkę z sukniami, mianowicie przy ciszy naszego mieszkania. Nie zastanawiając się nad tem długo, szybko zaniosłam Julci szklankę wody, a poleciwszy jej, by się cicho i spokojnie zachowała, wróciłam do pokoju Zuzi.

Teraz atoli poczęłam się zastanawiać nad moim krokiem, zważywszy jednak, że tu idzie o los Julci, o honor pana Kosy, że nakoniec w walce z tego rodzaju ludźmi wszelka broń jest godziwą, nawet tak brzydka jak podsłuchiwanie, postanowiłam swego dokonać. Zamknąwszy naprzód drzwi od sieni na klucz, żeby mi nagłe wejście Zuzi nie przeszkodziło, lekko następnie odsunęłam szafę i wcisnęłam się między nią a drzwi prowadzące do mieszkania markiza.

Rozmowę, jaką wysłuchałam, powróciwszy do siebie, spisałam natychmiast, czując całą jej doniosłość, i zdaje mi się, że nic godniejszego uwagi nie pominęłam w niej. Ona to nakoniec dała mi poznać całą nikczemną sieć, jaką ci dwaj ludzie oplątali naszą rodzinę; ona umocniła mię w postanowieniu bronienia Julci przed Holmem do upadłego.

— Kłamiesz, nie wierzę ci! — wołał Holm podniesionym głosem.

— Zmiłuj się panie jenerale! — błagał markiz — jażbym miał cię tak niegodziwie, tak nikczemnie, tak podstępnie oszukiwać, ciebie zacny panie, coś mi życie ocalił, więcej niż życie, bo honor!

— Ha! ha! ha! — śmiał się straszliwie Holm — twój honor, twój honor. Ale nie, nie oszukasz mię, mam dowody, chcesz mię nikczemnie okraść.

— Dowody masz, panie hrabio, jakie dowody?

— Twoje własne listy, pisane do tej głupiej baby. Ale ja nie pozwolę na to, dość już zebrałeś pieniędzy, kasa wojskowa winna ci wystarczyć, a potem ten rubin...

— Ah! więc i o to mię posądzasz, panie jenerale?...

— Tak jest, znam cię dobrze i przekonany jestem, żeś ty go ukradł. Nie zapieraj się, nie zapieraj, do kroćset dyabłów, nie gniewaj mię więcej. Raz już muszę z tobą skończyć. Natychmiast, dziś jeszcze musisz stąd wyjechać, gdzie chcesz, byle daleko...

Nastała chwila milczenia, poczem markiz głosem spokojnym, choć nieco drżącym, zapytał:

— A gdy tego nie zrobię, panie hrabio, gdy nie wyjadę to co będzie?

Rozległ się trzask głuchy, jak gdyby upadającego na posadzkę krzesła, a zaraz potem krzyknął Holm strasznym głosem:

— *Donnerwetter*, ty, ty, śmiałbyś mi się opierać?... Jeżeli cię jutro jeszcze o godzinie 8 rano zastanę w Grzymale, oddam cię policyi jako złodzieja, rozumiesz mię?..

— Oh! nie lękam się, nie zrobisz tego panie hrabio — szeptał słodziutkim głosem markiz — a to dla trzech powodów: naprzód nie zezwoli na to regimentarz, gdyż z chwilą wydania mię policyi, nie będę miał żadnej racyi do ukrywania jego sprawy z Pandurami i on wie dobrze o tem.

Holm gwałtownie począł chodzić po pokoju.

— Mów dalej, mów! — krzyczał — wysłucham cię do końca, do stu piorunów.

— Potrzeba, panie hrabio, żebyś mię wysłuchał — sprawa nasza jest wspólna i powinniśmy się porozumieć. Drugim powodem jest, że tu już nie panują Austryacy i rząd miejscowy nie będzie się zajmował i poszukiwał szkód, zadanych w roku przeszłym armii jego cesarsko-królewskiej mości. Potrzecie nareszcie, że jeżeli ja ukradłem z kasy wojskowej 150 tysięcy reńskich, toś ty, hrabio, złapawszy mię, nietylko nie oddał pod sąd, aleś wziął z tej sumy połowę, a zważ, że w razie oddania mię policyi nie ukryję tego drobnego faktu pod korcem...

— Nędzniku! łotrze! złodzieju! — krzyczał Holm a potem usiadł i mówił już spokojniej:

— Słuchaj mię, Jeniczanek, ja nie żartuję. Mylisz się naprzód, sądząc, że regimentarz ze względu na sprawę Pandurów będzie cię bronił. Przed rokiem, kiedy była wojna i kiedyśmy tu jeszcze byli, groziło mu to śmiercią, ale nie dziś — bronił się i koniec, nagrodzą go nawet za to. Wszak prawda?

Markiz milczał.

— Tak więc stoją rzeczy z tą sprawą Pandurów. Inaczej atoli jest z tobą. Złodziejstwo jest zawsze złodziejstwem i niema rządu na świecie, któryby złodziejów nie karał. Jak cię tylko uchwyci policya tutejsza, w trzy tygodnie będziesz wydany Austryakom i powieszony. Wierz mi, tak będzie. Co zaś się tyczy mnie, mylisz się bardzo, sądząc, żeś mię zastraszył. Jak niema na to żadnego dowodu, żebym ja cię miał kiedykolwiek łapać, tak i na to niema dowodu, żebym brał od ciebie ową sumę, o której mówisz. Zresztą zanadto wysoko stoję i dobrze jestem widziany, żeby miano wierzyć gołosłownym twierdzeniom takich jak ty łotrów!.. Nie pozostaje ci więc nic innego, jak tylko usłuchać mię i jutro rą-

no stąd wyjechać, a nawet — tak jestem wspaniałomyślny, że już o rubinie nic nie wspominam, weź go sobie, radzę ci tylko uciekaj z księstwa warszawskiego, bo są osoby, które cię mają w podejrzeniu o ten rubin.

Nastała chwila długiego milczenia, którą w końcu przerwał hrabia:

— Wierz mi, Jeniczanek, że ci daję dobrą radę, a w danej chwili, gdybyś mej woli śmiał się opierać, znajdę dość siły i mocy w sobie do wykonania mej groźby. Wyjazd twój z granic tego kraju jest koniecznością, bo gdybyś teraz nie wyjechał, gdybym nawet ja nie oddał cię w ręce sprawiedliwości, to wcześniej czy później ów porucznik polski, na którego honor rzuciłeś taką śmiertelną plamę, zrobi to. Zapewniam cię, że nie zaśpi on gruszek w popiele, że działa i działać będzie, dopóki prawdziwego złodzieja rubinu nie wykryje. Ach! ach! dobrześ rzecz tę poprowadził, niema co mówić. Zręczny z ciebie łotr, Jeniczanku. Ale zapomniałeś o tem, że w tym kraju zanadto wierzą w ludzkie charaktery, by mogli wątpić o nich wskutek podejrzanego oskarżenia. No! dość tego próżnego gadania, jutro więc o świcie wyjeżdżasz do Warszawy, skąd do mnie napiszesz, gdyż nie ufam ci wcale, a potem na Berlin i Hamburg do Ameryki. Tam cię i sam dyabeł nie znajdzie. Sprzedawszy zaś rubin, będziesz miał przeszło sto tysięcy austryackich guldenów w kieszeni, oczywiście wraz ze sumą zdobytą na kasie wojskowej, którą zapewne masz dotąd w całości, będziesz więc mógł żyć przy zwoicie.

— Panie hrabio! — jęknął markiz a raczej Jeniczanek — czyż w tobie niema ani kropli litości, ani odrobiny wdzięczności? Wszak to moim staraniom, moim zabiegom, mej pracy niezmordowanej, wszak to mej zręczności zawdzięczasz okrutny hrabio Holmie, że weźmiesz nietylko piękną dziewczynę, ale i posag duży, który cię postawi na nogi.

Nagle tę przemowę przerwało silne uderzenie, jak gdyby pięścią w stół, a potem grzmiący głos hrabiego:

— Kroć sto tysięcy fur beczek batalionów dyabłów, dość tego, błaźnie przeklęty! Nie zwiedziesz mię twemi miodowemi słówkami, znamy się dobrze. Marsz! albo jutro do Warszawy, albo na szubienicę, rozumiesz?

— Rozumiem — szepnął Jeniczanek, a głos jego przejął mię śmiertelnym dreszczem. Był to syk jadowitego gadu, któremu nastąpiono na głowę, był to przytłumiony ryk hjeny, złapanej w sidła.

— Skoro więc rozumiesz — krzyczał dalej hrabia — więc milcz i czyń, co ci każę. Ostrzegam cię, że jeżeli jutro o godzinie 8 rano tu się jeszcze znajdziesz, każę cię związać moim ludziom i odstawić pod konwojem do najbliższej komendy. A teraz bądź zdrów!

I wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi z łoskotem. — Słyszałam silne i gwałtowne jego kroki, jak się oddalał, które cichły, aż ucichły wkońcu. W pokoju Jeniczanka panowało przez jakiś czas milczenie, poczem rozległ się wyraźny szept:

— Idź, idź głupcze! Wypowiadasz mi wojnę, więc dobrze. O! obraziłeś Jeniczanka, strzeż się. Nie chciałeś ze mną podzielić się majątkiem tych głupich Polaków, więc nic nie dostaniesz, ani złamanego grosza i umrzesz w nędzy.

Potem jeszcze coś szeptał, czego już usłyszeć nie mogłam. Ostrożnie podniosłam się i cichuteńko wysunęłam z za szafy. Głowa mię piekła, paliła się, krew falami biła w moich pulsach i dreszcz jakiś opanował całe ciało.

Musiałam usiąść, żeby nie upaść, tak byłam osłabiona. Odpocząwszy nieco i zasunąwszy szafę, jak mogłam najciszej, powlokłam się do siebie. Julcia zdziwiona nieco mojem tajemniczem postępowaniem a zapewne i wzburzeniem na twarzy, którego pomimo usiłowań ukryć nie mogłam, poczęła mi się dopytywać, coby to wszystko znaczyło. Zbyłam ją, jak mogłam, nie chcąc tej niewinnej duszy kalać brudami opowieści i uspokoiwszy ją, choć niezupełnie, pogrążyłam się w myślach.



...Wcisnęłam się między szafę a drzwi.

Teraz cała sprawa jasno mi się rysowała: widziałam jak na dłoni sieć intrygi, którą ci dwaj łotrzy opletli naszą rodzinę i której to intrygi ofiarą miała paść biedna Julcia. Na myśl o tem wszystka krew wrzała we mnie. Wiedząc atoli, o co idzie, należało teraz przedewszystkiem zapobiedz małżeństwu hrabiego z Julcią, to było najgłówniejsze zadanie; następnie starać się uwiadomić o wszystkiem pana Kosę, żeby nie wypuścił ze swych rąk markiza. Z chwilą bowiem, w której markiz wyjedzie za granicę księztwa, zginie na zawsze możność wykrycia istotnego złodzieja rubinu i honor Kosy nie zostanie pomszczony.

Myśl ta tak dalece mię rozgorączkowała, że choć słaba, choć było już dość późno, podniosłam się i pod świeżem wrażeniem opisałam jak najdokładniej rozmowę markiza z Holmem. Następnie skreśliłam list do Kosy, w którym, donosząc mu, że wkrótce przyślę mu szczegółowy raport o tem, co się stało w Grzymale po jego wyjeździe, zawiadamiałam go o rychłem przybyciu markiza do Warszawy, o jego zamierzonym wyjeździe do Ameryki i wezwałam go, ażeby dla pomszczenia swego niewinnie splamionego honoru, starał się markiza przytrzymać i wydobyć z niego potrzebne zeznania.

Robił się już dzień i szary świt przedzierał się przez firanki mego okna, kiedy skończyłam tę pracę. Należało czekać jeszcze kilka godzin z wysłaniem listu na pocztę, choć rzecz była nadzwyczaj pilna, jednak innej rady nie było. Znużona byłam nadzwyczajnie, tak wrażeniami dnia poprzedzającego, jak i nocą spędzoną bezsennie przy pracy. Rzuciłam się na łóżko i przespałam snem kamiennym kilka godzin z rzędu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Z ludźmi nie poradzis, choćbyś nie wiem jak chciał. Taki kuzden człowiek, cy on ma co do gadania, cy ni ma, to jemu się zawdy zdaje, ze on ma co gadać. A rajców, to jak psów na świecie. Kuzden będzie ci radził, choć się na rzecy tyle rozumi, co pies na ogórkach.

Weźmy na to moją zeniackę! Ile ludzi we wsi, tyle rajców do ni, a kuzdy gada: Zeń się Maciek, zeń się Maciek! Od tego gadania juz się tak powietrze rozchlebotało, ze ostatnim casem, to bez pare dni wiatr ciągiem hulał, jak nie przymirzając Walkowa Maryna w zapusty.

A do tej zeniacki pilą mnie nie ino zeniate ludzie, ale i kawaliry. A przeciez kuzden wie, co takie kawalirskie rajenie warte. Jakby zeniacka była dobra, tobyś ty, bracie, nie gadał: Zeń się Maciek! ino sambyś brał za babę, jazby się kurzyło, ale widać, ze ono nie takie znowu smaki, kiej wy mnie do niej pilicie, a sami luzem chodzicie, jak te ćmy wiecorne. Ja wiem, o co się wam rozchodzi! Wy se tak myślicie: Niech Maciek popróbuje, jakie to z babom smakołyki, a jak mu będzie dobrze, to i my się do tego jenteresu weźmiewa, a jak źle, to się będziewa z Maćka śmiać, jaze strach.

Latego tez kawalirom się nie dziwuję, ze chcom sobie na mnie próbę zrobić, ale bardzi się dziwię zeniatym, którzy mnie do tego naganiają.

Kuzden z zeniatych, zeby mógł, toby się baby za śtyry grajcary pozbył, a drugiego to pcha do tego, co mu samemu kością w gardle stoi. A tu tak nie idzie!

Wiadomo przecie, ze jak kobyła nie chce chodzić w pługu, to się ją wyzenie na jarmark i choć ze stratą, sprzeda; jak krasula mlika nie daje, to choćby na rzeź zyd kupi: a nawet starą haderę, jak się w ni dziury pocną robić, to jesce smaciarzowi mozna za siarnicki sprzedać. A z babą to na nic! Zeby nie wiem jak była ci niedogodną, to choćbyś ją po wszyćkich jarmarkach wywodził, to ci nikt za nią ani jednego siarnika nie da, takie to nikcemne i nic niewartające. Ba! nietylko ze nic nie da, ale choćbyś ją za darmo chciał komu ochfiarować, to cię jesce spsiocy i skunieruje i zeklnie od stworzenia świata!

Gospodarz mój to się śmieją ze mnie i padają, ze to wszyćko nieprawda, co ja gadam. Juści nieprawda! A niech oni spróbują swoją przechodzoną gospodynię wywiźć na jarmark, to się przekonają, ze nic za nich nie dostaną. Chyba zeby se ją grabarz za dwa grajcary kupił do klekotania we wielgi piątek.

Bez to wszyćko com pedzioł, to ja się ta ku ozeniacce nie spiesę. Niech się Kaśka podstarzeje, te gęba się jej trochę uselence i nie będzie mogła po ślubie tyla na mnie pyskować. A jak się Kaśce spiesy, to niech se posuka kogo inksego — to ja ta za nią płakał nie będę, bo babów na świecie dość.

Z TYGODNIA.

W obronie rolnictwa. Od początku obecnej sesyi Rady państwa sprawa drożyźniana góruje nad wszystkiemi innemi. Socyaliści i niektórzy posłowie z miast ustawicznie krzyczą, że drożyźnie winni rolnicy. Zdawaćby się z tego mogło, że rolnicy uprawiają poprostu lichwę mięsną i za swój produkt, Bóg wie jakie pieniądze, wyciągają. Doskonałą odprawę tym wszystkim gardłującym przeciw rolnikom dał nasz poseł p. Cezar Haller w Izbie poselskiej. W dłuższej i z uwagą przez posłów słuchanej mowie cyfrowo wykazał, jak małe korzyści osiąga hodowca, sprzedając bydło. Porównał ceny żywej wagi bydła z cenami pobieranemi przez rzeźników i wykazał szalone zyski pośredników.

»Jeżeli wszystkie klasy robotnicze domagają się podwyżki zarobków — mówił nasz poseł — słusznem więc jest, by i rolnik-hodowca znalazł choć skromne wynagrodzenie za trud i pracę; a że dochody rolników nie są świetne, świadczy o tem ta wielka liczba rolników, opuszczająca co roku kraj. Jeśli hodowla opłacać się nie będzie, to nie można spodziewać się zwyżki produkcyi bydła. Ciężkie winy ponosi rząd i państwo względem rolnictwa przez długie lata; zadawać rolnictwu nowe ciosy dla chwilowego zapobieżenia rzekomemu brakowi, byłoby błędem, któryby się odbił na zniżce produkcyi i zwiększonem wychodźtwie. W kraju moim — kończył poseł Haller — zdarzyły się wypadki braku bydła na poszczególnych targach; przypisać to należy niewłaściwemu stosowaniu ustawy weterynaryjnej z powodu pryszczycy; ale ceny targowe, jak o tem świadczą sprawozdania, mimo to wygórowane nie były. Co do wprowadzania bydła żywego z Serbii, kryłoby się w tem wielkie niebezpieczeństwo dla hodowli, która podniosła się, dzięki weterynaryjnym zabiegom ostatnich dziesięcioleci«.

Wojna włosko-turecka. Włosi posuwają się dalej w zdobywaniu Trypolitanii. Umocniwszy się w mieście Trypolisie, zdobywają dalsze forteczne miasta nadbrzeżne. Zdobyli już miasto Benghazi po całodziennem bombardowaniu i odparciu Turków; dalej miasta Dernę i Homs. Wewnątrz kraju jednak uzbrojone szczepy arabskie obok tureckiego wojska, które się cofnęło, gotują się do dalszych krwawych rozpraw ze zdobywcami. Było też już kilka napadów tureckich na wojsko włoskie w obsadzonych i zdobytych już miejscowościach. Włosi nie byli na to przygotowani i dlatego zastanawia się obecnie rząd włoski nad tem, z jakiej strony szachować ma dyplomatycznie Turcyę, by ona nietylko nie popierała oporu, lecz wpływała na uspokojenie ludności mahometańskiej w Trypolisie. Zdaje się jednak, mimo wszelkich pogłosek, że Turcya nie ma zamiaru łatwo zrzec się Trypolisu. W Konstantynopolu ruch za wojną wzmaga się z dnia na dzień. Młodoturcy zagrzewają do dalszej wojny i obrony posiadłości tureckiej do upadłego.

Rewolucya w Chinach, skierowana przeciw panującej dynastyi mandżurskiej rozszerza się i okazuje ruchem zbrojnym, z którym, kto wie, czy obecny rząd i wojska wierne cesarzowi, dadzą sobie radę. Wodzem powstańców jest znakomity jenerał chiński, wykształcony w Europie, Li-Juan-Hun. Nad rewolucyą w Chinach, od szeregu lat już, pracował niezwykłej miary człowiek, znakomity organizator i przewódca Sun-Jot-Sen. Zebrał on w Anglii i Ameryce znaczne środki, dochodzące dwustu milionów franków na prowadzenie wojny. Z powodu prześladowania rządu przebywa od lat kilku za granicą; teraz podobno podąża do Chin.

KRONIKA.

(K. T.) **Pożegnanie proboszcza.** W dniu 3 października cała parafia Wietrzychowice żegnała serdecznie proboszcza ks. Jana Pilcha, przeniesionego do Olesna. Pożegnanie było wzruszające. Przed odjazdem udał się ukochany pasterz do kościoła, gdzie modlił się gorąco przed ołtarzem, przed którym niespełna 26 lat Mszę św. odprawiał. Potem, przy odgłosie dzwonów wobec zgromadzonego tłumu parafian, wsiadł do powozu. Wzruszenie nie pozwalało mu mówić, łzy dławily w gardle. Odprowadziła go banderya włościańska. Ks. Pilch tak był lubiany, że z Miechowic i Wietrzychowic udała się nawet deputacya do Najprz. ks. biskupa tarnowskiego z przedstawieniem, by go zatrzymano. Pożegnanie ks. proboszcza Pilcha jest jednym więcej dowodem silnej łączności naszego ludu z duszpasterzem, miłości, wdzięczności i przywiązania, jakie sobie duszpasterze nasi często wśród ludu umieją zaskarbić.

(W. K.) **Trzy uroczystości kościelne w Kraczkowej**. W wiosce tej, która leży w powiecie rzeszowskim, odbyły się w krótkim przeciągu czasu, bo w ciągu dni pięciu, trzy przepiękne uroczystości, które mało gdzie razem się zejdą. Staraniem naszego kochanego proboszcza Wiel ks. Stanisława Dahla odprawili OO. Kapucyni w dniach od 8 do 12 października misyę. Przez pierwsze trzy dni kazania, w czwarty dzień wspólna spowiedź, a piątego dnia tj. we czwartek wspólna Komunia św. całej parafii kraczkowskiej. W czwartek dnia 12 b. m. po wspólnej Komunii św. wyruszyła procesya złożona z tutejszych parafian, także i z obcych, oraz z kilkunastu księży z sąsiednich parafii, ze starego kościoła na plac przeznaczony pod nowy kościół, który to plac był odpowiednio ubrany. Poświęcenia dokonał w zastępstwie Najprzewielebniejszego ks. Biskupa, ks. dziekan Antoni Tyczyński z Albigowej. Akt budowy tego kościoła odczytał jeden z księży Misyonarzy i tenże akt, po włożeniu do urny zamurowano. Teraz ruszyła procesya przed budynek plebański, gdzie leżał obrobiony krzyż misyjny. Tam krzyż ten poświęcono, i czterdziestu gospodarzy w strojach narodowych wraz z księdzem proboszczem wzięło krzyż na barki i w procesyi zaniosło przed kościół, gdzie go ustawiono. Następnie odbyła się w kościele suma, którą celebrował jeden z sąsiednich księży. Po sumie wypowiedział jeden z księży Misyonarzy bardzo podniosłe i zastosowane do uroczystości kazanie i udzielił nam błogosławieństwa papieskiego i na tem się te przepiękne dni zakończyły.

(J. K.) **Wystawa szkolna.** Dnia 13 października otwarto w Złoczowie pierwszą szkolną wystawę z całego okręgu złoczowskiego. Na tę wystawę złożyły się przedewszystkiem prace dzieci szkolnych a także prace nauczycielstwa. Wystawa obejmowała 10 obszernych pokoi szkolnych, w których można było zobaczyć dział gospodarstwa, ogrodnictwa, sadownictwa, ręczne roboty kobiece, tak zwany »slöjd«, guzikarstwo, szczotkarstwo, koszykarstwo, roboty piłeczkowe, rysunki, ćwiczenia piśmienne, malarstwo, zabawki wyrabiane w szkole w Kulikach, założonej przez redakcyę »Małego światka« ze składek dzieci i wiele innych rzeczy przemysłu swojskiego. Wystawę tę zwiedzały tłumy publiczności tak ze Złoczowa jakoteż z prowincyi. Zwiedził ją też prezydent rady szkolnej krajowej Dembowski, radca szkolny Kawecki i poseł z miasta Złoczowa Władysław Dębski, zachwycając się tą wystawą. Myśl urządzenia jej podał tutejszy inspektor okręgowy p. Niedźwiecki a jest ona zasługą nauczycielstwa, które nie szczędziło pracy, trudów i kosztów, aby pokazać społeczeństwu, że praca ich na marne nie idzie i że przemysł domowy, dzięki ich pracy, ciągle naprzód postępuje.

(J. K.) **Włościanie artyści.** Dnia 15 b. m. przybyła do Złoczowa sławna orkiestra Namysłowskich z Królestwa Polskiego, aby w sali Sokoła dać przepiękny koncert. Orkiestra ta, mając już za sobą wiele szczerych i serdecznych pochwał za swój artyzm, ściągnęła do sali Sokoła niewidziane dotychczas tłumy publiczności. Wystąpili na scenę artyści w sukmanach. Gruchnęły zewsząd huczne oklaski poczem cisza zaległa ogromną salę. Nagle wśród tej ciszy odezwały się czyste, prześliczne tony melodyi polskiej, wprawiając wszystkich w zachwyt. Nikt nie chciał wierzyć, że to grają chłopi z pod zaboru rosyjskiego. Żadna orkiestra wiedeńska czy czeska, czy też kto inny nie potrafiłby tak zagrać mazura, gdyby w jego żyłach nie płynęła krew polska. Skończył się koncert tej miłej orkiestry i wszyscy odeszli do domów swoich pełni zachwytu i podziwu dla braci-artystów w sukmanach.

Straszny wypadek w szpitalu. Nikt nie wie, gdzie go śmierć spotka, kiedy i w jaki sposób zakończy swą ziemską wędrówkę. Biedni rodzice pewnej 13-letniej dziewczynki w Wiedniu, gdy ta zachorowała ciężko na szkarlatynę, zmuszeni oddać ją do szpitala, żywili nadzieję, że ukochane dziecko wyzdrowieje, mając tam staranną opiekę lekarską i dozór. W najgorszych chwilach, gdy łóżeczko jej w domu opustoszało, stroskanej matce złe przeczucie szeptało do ucha, iż tak ciężkiej choroby, jak szkarlatyna, nie przetrzyma.



Ale okrutny los gotował dla rodziców gorszą niespodziankę. Choroba postępowała swoją koleją; w pierwszych dniach po oddaniu córki do szpitala, gdy ją odwiedzali, zdawało się im, że może być uratowana, jak tyle innych dzieci. Aż pewnego dnia popołudniu, gdy matka przyszła odwiedzić ją, dowiedziała się strasznej prawdy. Dziewczę już nie żyło, lecz zmarło nie, jak można było przewidywać, na szkarlatynę, lecz w sposób doprawdy krew w żyłach ścinający. Oto w napadzie silnej gorączki skoczyła do okna i stąd rzuciła się na bruk podwórza szpitalnego. W gorączce była tak silną, że choć posługaczka chwyciła ją, gdy wskoczyła na okno, nie mogła jej wstrzymać. — Straszną tę chwilę przedstawia nasz obrazek.

(J. K.) **Bójka z żandarmem.** Dnia 14 b. m. w Sasowie, niedaleko Złoczowa, żandarm pełniący służbę na jarmarku chciał aresztować żyda Lejbę Leidera za kradzież sukna. Żyd jednak stawiał opór i groził żandarmowi. Wtedy zdjął on karabin i z nastawionym bagnetem chciał żyda zmusić, ażeby się dał aresztować. W tej chwili jednak kilku żydów pochwyciło z boku za karabin, próbując go wydrzeć żandarmowi. Ten widząc, co się dzieje, trzymał je-

dną ręką karabin a drugą wyjął szablę i począł się bronić. Wszyscy odskoczyli na bok i żandarm na swoje szczęście nie dał sobie zabrać broni, gdyż w przeciwnym razie byłby stracił służbę i jeszcze karę dostał. W czasie tego zamieszania Leider, rymarz z zawodu, uciekł i dotychczas go nie odnaleziono; wszystkich zaś tych, którzy mu pomogli do ucieczki i rzucili się na żandarma, aresztowano i oskarżono o gwałt publiczny, za co też ich spotka zasłużona kara.

(J. K.) **Wybuch benzyny**. Ubiegłej niedzieli o godz. 8 wieczór wybuchł pożar w śródmieściu Złoczowa. Przyczyną było nieostrożne obchodzenie się z ogniem. Mianowicie chłopiec inżyniera Hofa poszedł ze świecą do komórki, ażeby nabrać benzyny do samochodu. Przy nabieraniu zbliżył świecę do benzyny, która w tej chwili wybuchła. Następnie wybuchła druga beczka, która obok stała. Olbrzymie czarne kłęby dymu buchnęły ku górze. Budynek, w którym była owa komórka, spłonął doszczętnie, chłopiec zaś uszedł szczęśliwie. Na miejsce wypadku przybyła straż pożarna i wojsko, które utrzymywało porządek, gdyż tłumy ludzi rosły. Po pewnym czasie udało się straży pożarnej ogień umiejscowić. — Szkoda jest dość znaczna, gdyż budynek nie był ubezpieczony.

(S. C.) **Czerwonka,** ta straszliwa choroba szerzy się u nas w Lubeni od kilkunastu dni, przez kogoś skądś przywleczona. Codzień nowe wypadki, już kilka osób zmarło, przeważnie dzieci.

(W. Z.) **Pożary**. W Kleczy Dolnej obok Wadowic dnia 10 b. m. o godz. 11 przed południem spaliły się: dom i stodoła Wojciecha Masterka. Ponieważ ogień powstał ze stodoły, więc zdaje się, że był podłożony. Nie uratowano niczego, gdyż był silny wiatr. Zagroda była ubezpieczona na 2 tysiące kor.

(E. N.) W nocy z 17 na 18 b. m, o godzinie 3 wybuchł pożar w gospodarstwie Józefa Matuszyńskiego w Zawadzie na Śląsku austr. Pastwą płomieni padła stodoła wraz z wszystkimi zapasami, dach budynku mieszkalnego i chlewki. Przybyłe z okolicznych wsi ochotnicze straże pożarne zdołały wnet pożar umiejscowić. Przyczyna pożaru dotąd nieznana.

Kościółek ze śniegu W pewnej miejscowości Bawaryi w ciągu ubiegłej zimy były takie zawieje śnieżne, że mieszkańcy nie mogli się dostać do parafialnego kościoła o 2 mile oddalonego. Zbudowali więc kościółek ze śniegu, który przedstawia nasz obrazek.



Nie odprawiały się tam wprawdzie nabożeństwa, ale przez tę budowę, którą ciepłe promienie słońca niezadługo stopiły, dali oni wyraz potrzebie kościoła w miejscu. Jako niezwykłe dziwowisko kościółek ze śniegu przez pewien czas ściągał ludność z sąsiednich wsi, która podziwiała w istocie zręczną budowę.

Chłop obywatel. W Pastwiskach, na Śląsku austr., zmarł ś. p. Józef Wawrzyk, zasłużony członek zarządu kasy Raiffeisena i Spółki spożywczej, znany mowca ludowy ze zgromadzeń Związku śląskich katolików i kampanii wyborczej. O ile miał poważanie i wzięcie u swoich, o tyle był solą w oku socyalistów. Oskarżony przez nich o »nadużycia« wyborcze, jeszcze dwa dni przed śmiercią miał rozprawę sądową, na której jednak został zupełnie uwolniony. Był to włościanin-obywatel w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, otaczany powszechnie rzetelnym szacunkiem.

(Cz. A.) **Krwawy napad**. Z Pogorza na Śląsku austr. piszą nam: W sobotę dnia 30 września o godzinie 10 wieczór wracało kilku młodzieńców z gospody p. K. Kilka kroków od gospody rzuciło się dwóch młodych ludzi na Karola Goleję, murarza, idącego wspólnie z nimi i trzymali go z tyłu. Trzeci zaś nożem zadał mu trzy rany w szyję a oprócz tego poderżnął nieszczęśliwemu gardło w tak straszliwy sposób, iż przyjmowane do ust potrawy wychodziły tą raną na zewnątrz. Wskutek tak głębokiej rany nie zdołał ów młodzieniec dojść o własnych siłach do domu i pozostał na miejscu zbrodni przez 4 godziny. Około godz. 2 po północy przyprowadzili dwaj niepoznani dotąd młodzi ludzie nieszczęśliwą ofiarę przed drzwi do domu, dali znać śpiącej matce silnem uderzeniem w drzwi i umknęli. Chory mimo przecięcia organów przełyku a prawdopodobnie i tchawicy, zdołał wyszeptać jeszcze kilka słów zawierających krótkie opisanie przebiegu zbrodni. Podał także nazwiska dwóch zbrodniarzy tj. Franc. Buchty, murarza z Pogorza i Gojniczka, których też żandarmerya zaraz w niedzielę rano przyaresztowała. Zmasakrowany zaś Galeja dał się jeszcze zaopatrzyć i wśród wielkich mąk dożył do poniedziałku do godziny 11 przed południem. Nowy to i przerażający dowód, do czego prowadzi pijaństwo. Kiedyż przejrzą wszyscy ci młodsi i starsi, którzy oddają się temu nałogowi?

(K. Ż.) **Nieszczęśliwy wypadek.** W nocy z dnia 1 na 15 b. m. około godziny 1 po północy, wybuchł pożar u Józefa Spernola w gminie Mnich na Śląsku austr. Spaliła się stodoła drewniana wraz z chlewem i chlewkami na czarny dobytek. W stodole było wszystko zboże i strawa na nadchodzącą zimę dla bydła. W tej też stodole nocował jakiś wędrowny chłop, który się również spalił, a tułów jego, bez rąk i nóg, odwieziono do Strumienia do pogrzebania. Nadto spaliły się także dwie świnie, których już nie zdołano wyratować. Właściciel ponosi wielką szkodę, ponieważ i ziemniaki wykopane miał w stodole i te również się popaliły. Budynki były ubezpieczone, ale za nisko. Ogień został podłożony, ale na razie nie wiedzieć przez kogo. Na miejsce pożaru przybyła straż ogniowa z fabryki cukru w Chybiu, której też zawdzięczać należy, że zdołano uratować budynek mieszkalny wraz z gospodą, oddalony tylko o jakie 5 kroków. Zaznaczyć należy, że w okolicy znajduje się jakieś niebezpieczne indywiduum, które od czasu do czasu daje o sobie znać przez to, że podpala tu i owdzie i puszcza z dymem mienie spokojnych właścicieli. Byłby już czas najwyższy, żeby się to skończyło.

Straszny czyn obłąkanej. W Komotowie w Czechach 28-letnia żona właściciela realności Bleiela, zamordowała w przystępie szału 5-letnią swą córeczkę, odcinając jej głowę toporem. Bez objawów najmniejszego wzruszenia stawiła się potem morderczyni na policyi, gdzie przedstawiła ze wszystkimi szczegółami swój dziki postępek.

Dziewięć godzin nad przepaścią. W strasznem położeniu znalazło się niedawno temu dwóch

mężczyzn, zwiedzających Alpy szwajcarskie, którzy wybrali się w towarzystwie trzeciego kolegi na jeden z groźniejszych szczytów. W czasie drogi, gdy związani sznurem wdzierali się ku górze po stromem zboczu, usunęła się jednemu z nich z pod nogi skała tak iż zawisnął na linie nad niezgłębioną przepaścią. Na szczęście towarzysz, z którym był związany, odznaczał się nadzwyczajną siłą. Ten, uczepiwszy się ciałem o złom skały, trzymał nieszczęśliwego na linie nad przepaścią tak długo, dopóki trzeci z nich nie sprowadził pomocy. Straszne to położenie trwało 9 godzin, gdyż tyle czasu minęło, zanim nadeszła pomoc.

Ile kosztuje wojna włoska? Wyprawa wojenna włoska dotychczas kosztowała już 500 milionów lirów (lir posiada prawie tę samą wartość, co korona). Na targach objawiają się skutki wojny, szczególnie w dziale bawełnianego i jedwabnego przemysłu, dlatego, że zamknięte są targi tureckie. Także włoski przemysł zapałkowy, który wysyła za kilka milionów lirów do Turcyi, ponosi wielką szkodę.

Przyczyna wojny. Wiadoma to rzecz, że często błahe przyczyny sprowadzają bardzo poważne i groźne skutki. W historyi mamy cały szereg podobnych przykładów. Tak samo ma się rzecz i z toczącą się obecnie wojną włosko turecką o Trypolis. Wprawdzie Włochy już oddawna miały chętkę zagarnąć ten kraj, a przecież do wybuchu wojny potrzeba było jeszcze jakiegoś błahego wypadku, aby nim upozorować wojenne kroki, spowodowane tylko dawnemi dążeniami zaborczemi. I taki wypadek zdarzył się na kilka dni przed wybuchem wojny. — W stolicy Trypolitanii, Trypolisie, znaleziono na ulicy trupa, w którym rozpoznano jednego z włoskich poddanych.

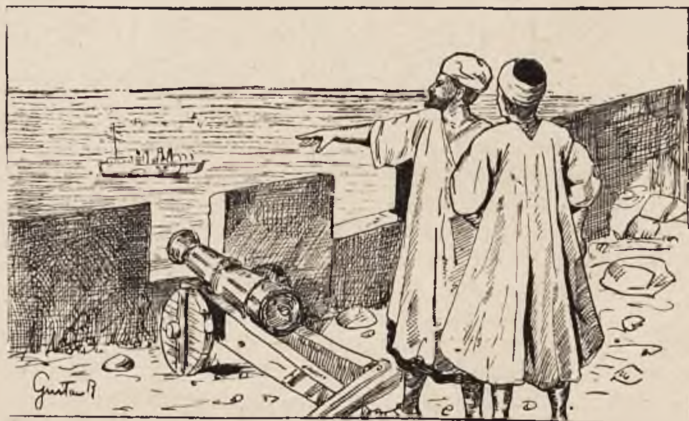


Trzeba bowiem wiedzieć, że w Trypolisie znajduje się ogółem przeszło 200 Włochów, niespełna 200 Greków, ponadto znajduje się tam do 50 Niemców, tyluż Francuzów i Anglików. Resztę stanowi ludność tubylcza, a więc najliczniejszą kolonię stanowią Włosi. Między poszczególnymi konsulatami toczą się często zacięte spory o rzekome uprywilejowanie jednych poddanych przed innymi. Ostatni wypadek dał konsulatowi włoskiemu sposobność zarzucić rządowi tureckiemu, że w Trypolisie poddani włoscy nie są pewni życia i to zaostrzyło stosunki turecko-włoskie do tego stopnia, że niebawem wybuchła wojna. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy nad zwłokami zamordowanego Włocha zgromadzili się dostojnicy miejscowi i oburzeni ziomkowie.

„Cudowny oszust“. Jeśli są dzieci »cudowne«, które w 5, 6-tym roku życia grają pięknie na różnych instrumentach i mówią obcymi językami — to to samo określenie zastosować można do pewnego byłego kelnera berlińskiego, Schiemangka, który kradnie, oszukuje, przebiera się, odbywa podróże jako »hrabia Passy« i drwi sobie z policyi pruskiej, która ciągle go chwyta, pakuje do aresztu, a on ciągle jej ucieka doprawdy w »cudowny« sposób. Najczęciej brał on zaliczki na posag od starszych dam, pragnących wyjść za mąż. »Hrabia« występował czasami w jakimś uniformie generalskim, ozdobionym wieloma orderami i wstęgami, a więcej nie potrzeba, aby podbić serce nietylko starzejącej się, ale i pełnej wdzięków Niemki. To też oszust opływał w dostatki, mimo, że oblicze jego nie było zbyt ujmujące. Wreszcie »hrabiemu« pośliznęła się noga. Osadzono go w areszcie, ale tejże samej nocy więzień znikł bez śladu. Wkrótce schwytano go znowu, ale i wtedy zemknął prowadzącym go żandarmom. Chwytano go co parę tygodni i co parę tygodni pisma donosiły, że »hrabia« Passy znowu zbiegł z więzienia. Przed dwoma miesiącami schwytano Schiemangka w jednem z uzdrojowisk, gdzie przebywał jako inżynier i zabawiał się wesoło w towarzystwie wieśniaczek. W olbrzymiej asystencyi żandarmów przewieziono go do więzienia w Hellbronn, a ponieważ oświadczył, że za parę dni ucieknie znowu i radził nie wypłacać nagrody tym, którzy go ujęli, przeto za zezwoleniem prokuratora odebrano mu ubranie, przykuto go do ściany za obie nogi i osadzono w celi, do której trudno się dostać nawet dobrze obeznanym z planem więzienia. Ale i stamtąd »hrabia Passy« uciekł w sposób zgoła »cudowny«, i znowu buja na wolności, ukrywając się zręcznie przed okiem władzy.

Podczas walki byków w stolicy Portugalii Lizbonie zdarzyło się, że nieprzebrane tłumy, przypatrując się zapasom ludzi z temi zwierzętami, uczuły się zawiedzone w nadziei krwawych widoków, gdyż w ich przekonaniu byki i ich pogromcy za mało mieli krewkości i zapału do walki. Zaczęły podnosić się szmery i krzyki, wreszcie podczas dłuższej pauzy tłumy rzuciły się na boisko, chcąc cyrk zburzyć i podpalić. Wtedy wpadł kierujący walką byków na piekielny pomysł — postanowił pokazać żądnym krwi tłumom, że i jego byki zdolne są do okrutnej, bogatej w ofiary i krew walki. Wypuścił więc na niszczących cyrk byki — i niedawno krzyczące o krew tłumy w trwodze rzuciły się ku wyjściom na widok groźnie nastawionych rogów. Ofiar w ludziach nie było wiele, więcej sami ludzie sobie zaszkodzili, cisnąc się przy wyjściu.

Na starych fortach Trypolisu. Dzisiaj już ze starych, zmurszałych murów obronnych miasta Trypolisu została kupa gruzów. Podczas bombardowania fortów armaty okrętowe włoskie doszczętnie je zniszczyły.



W dniu wypowiedzenia wojny jednak te stare warownie tak wyglądały, jak obrazek nasz przedstawia. Sterczały z nich, zwrócone ku morzu, lufy armat tureckich. Skąpe ich i niecelne wystrzały nie

przydały się na nic twierdzy nadmorskiej, Włosi gradem olbrzymich pocisków pogrzebali je pod zburzonemi murami fortów.

Misyonarze w Trypolisie. Trypolis, o który toczy się obecnie wojna pomiędzy Włochami a Turcyą, obejmuje dwa dawniejsze królestwa: Trypolis i Fez. Urzędowymi językami są tu arabski i turecki. Większość ludności mów językiem arabskim lub włoskim. Klimat trypolitański jest przeważnie gorący. Jako część świata katolickiego, kraj ten powierzono opiece Franciszkanów. Duszpasterstwo wśród katolików tamtejszych spoczywa obecnie w ręku 23 Misyonarzy, pochodzących z różnych prowincyi włoskich. Misya Franciszkanów powstała w Trypolisie w XVII stuleciu. Głównem polem pracy Misyonarzy były kopalnie, gdzie więziono prześladowanych wówczas chrześcijan. Dopiero pod koniec XVII wieku zdołano zbudować w mieście Trypolisie pierwszy mały kościółek. Później powstało więcej kościołów i kaplic i pozakładano osady misyjne. Nawracanie mahometan na wiarę chrześcijańską połączone było z wielkiemi trudnościami, ponieważ prawa krajowe tego zabraniały. Jeżeli Misyonarzom udało się tu i owdzie nawrócić wyznawcę Mahometa, to trzeba go było jak najspieszniej wysłać do Europy, aby go uchronić przed zemstą współwyznawców. W 19 stuleciu objęli misye trypolitańskie Franciszkanie włoscy. — Ludność trypolitańska wynosi razem około 1,260.000 osób, 5541 katolików rzymskich i 61 grekokatolików. — Oprócz 23 Franciszkanów, pracuje w mieście Trypolisie 7 Maryanistów i 17 zakonnic, które utrzymują szkoły oraz domy sierot, przyjmując do nich dzieci nietylko katolickie, ale i mahometan.

Procesya w Lourdes. Od lat kilkudziesięciu słynie we Francyi miejscowość Lourdes (Lurds) gdzie ukazała się wśród skał pewnej świątobliwej dziewczynie Matka Boska. Na miejscu cudownego widzenia zbudowano kościół, dokąd zdążają ustawicznie tysiące pobożnych pielgrzymów z całej Francyi w ich liczbie zaś wielu chorych.



Podobnie jak w naszej Częstochowie, wielu ludzi cierpiących a gorącej wiary, doznało w Lourdes ulgi w chorobach, a nawet zupełnego uleczenia. — Nasz obrazek przedstawia uroczystą procesyę w tem słynącem cudami miejscu. Obok drogi, którą procesya przechodzi pełno chorych, żarliwie modlących się do Matki Najśw. o łaskę wyzdrowienia.

Egzamin przed ślubem. Praktyczny parlament w Norwegii zajmował się niedawno sprawą zaprowadzenia formalnego zupełnie egzaminu przedślubnego. Każda narzeczona ma przed zawarciem małżeństwa złożyć państwu dowody, iż umie szyć, a przedewszystkiem gotować samodzielnie. Ten egzamin będą musiały składać wszystkie kandydatki do stanu małżeńskiego, czy biedne, czy bogate, bez różnicy stanu i wieku. Przedewszystkiem na znajomość kuchni kładą nacisk przedstawiciele ludu w norweskim parlamencie, wychodząc z tego przekonania, że bez dobrego posiłku nie może być zupełnej zgody w małżeństwie.

Zapamiętały fotograf. Zdawaćby się mogło, i całkiem słusznie, że spotkanie z tygrysem w jego ojczyźnie, na wolności, nie może być, bądź co bądź, traktowane jako rzecz wesoła. A jednak o zabawnej przygodzie pewnego Anglika z tygrysem opowiadają gazety niemieckie. Ten osobliwy podróżnik wybrał się na niego właściwie — z aparatem fotograficznym. Gdy zbierał fotografie z pięknych okolic Afryki, w otoczeniu tubylców, zaopatrzonych w broń, raz zdarzyło się, że wybiegł naprzeciw niemu z krzaków rozjuszony tygrys.



Mimo, że zwierz widział kilku ludzi uzbrojonych, nie uciekał w głąb boru, lecz rzucił się wprost na nich. Anglik, chcąc koniecznie go odfotografować, zapominając o ratunku i obronie, czemprędzej zamiast lufy karabinu, wycelował do tygrysa aparat fotograficzny i w rzeczy samej odfotografował go w momencie skoku, zaledwie o parę kroków od aparatu. Dodawać chyba nie trzeba, że krajowcy otaczający owego Anglika, zastrzelili dziką bestyę, zanim zdołała rzucić się na zapamiętałego fotografa. Zabawny ten z jednej strony, z drugiej jednak wielce niebezpieczny wypadek, przedstawia nasz obrazek.

Przeciw murzynom. Jak donoszą z Ameryki z Nowego Jorku, w stanie Georgii nienawiść białych względem murzynów przeszła w ostatnich czasach w ślepy szał. Wśród murzynów w mieście Donalsonville panuje przerażenie, ponieważ biali obywatele tamtejsi poprzysięgli murzynom krwawą zemstę za zabicie w miejscowości Jakins oficera policyi Newberrego, przez kaznodzieję murzyńskiego. Gromady ludzi przeciągają po okolicach miasta i strzelają do murzynów, gdziekolwiek ich spotkają. Świątynie i szkoły murzyńskie są podpalane. Pięć domów mieszkalnych, 6 świątyń i 4 szkoły murzyńskie padły pastwą ognia. Setki murzynów oćwiczono do krwi. Zabójca oficera Newberrego uciekł. Całe tłumy murzynów opuszczają gromadnie Donalsonville, biali jednak niezadowoleni tem, poprzysięgają opróżnić w ciągu tygodnia cały okręg z nienawistnego plemienia czarnego.

Fotel dla samobójców. Znowu figiel amerykański! Niejaki James Kingston z Chicago ogłasza w gazetach: »Po wielu wysiłkach udało mi się nareszcie zbudować maszynę, przewyższającą wszystko, co dotychczas służyło do przenoszenia się do wieczności. Maszyna ta składa się z wygodnego fotelu o wysokich poręczach i oparciu, w których znajdują się rurki rozmaitej średnicy. W chwili gdy kandydat na samobójcę zasiada w fotelu, zaczyna się ulatniać przy pomocy nader pomysłowego urządzenia

z rurek przyjemnie odurzający gaz. Jednocześnie zaczynają działanie umieszczone w fotelu sprężyny i tryby i gdy osoba, siedząca w fotelu, pogrążona jest, dzięki odurzającym gazom, w cudnych snach, tryby i sprężyny spełniają swoje przeznaczenie, mały młoteczek uderza w masę wybuchającą a z 9 rurek większych, umieszczonych w oparciu, pada 8 strzałów, z których dwa trafiają w serce, dwa w płuca, dwa w brzuch, a dwa w głowę, przenosząc z całą pewnością i momentalnie do wieczności szanownego kandydata na samobójcę«. Pod ogłoszeniem następuje adres firmy. Jest to oczywiście sprytna reklama. — W owym sklepie, być może, sprzedają maszynki do golenia. Niema co mówić, amerykańscy kupcy mają humor!

Olbrzymie grzyby. W Ameryce dzieją się rzeczy, o których nie śniło się zwykłym śmiertelnikom. Natura nawet dla Ameryki okazuje więcej macierzyńskiej dobroci. Według doniesień pism amerykańskich u pewnego hodowcy grzybów w ciągu jednej nocy wyrósł grzyb, ważący 16 funtów. W tej samej okolicy znaleziono w ogrodzie grzyb ważący 25 funtów. W parku w St. Souis znalazła pewna dziewczyna grzyb ważący 30 funtów.

Milioner kradnący kury. W miejscowości Evansville, w Stanach Zjednoczonych, aresztowano Franka Guenthera, wiceprezydenta kompanii węglowej i człowieka bogatego, który posiada majątek trzech milionów dolarów, pod zarzutem kradzieży kur. Kradł on kury swoim sąsiadom i gdy zrobiono rewizyę na jego posiadłości, znaleziono tam aż 400 kur skradzionych sąsiadom.

Wstrzymanie bezpłatnego przewozu do Parany. Bezpłatny przewóz wychodźców do Parany został zawieszony wskutek rozporządzenia rządu brazylijskiego. Rozporządzenie to wywołała okoliczność, że w Paranie niema na razie wymierzonych gruntów dla kolonistów i nowi przybysze zmuszeni byliby na przydzielenie im ich wyczekiwać przez dłuższy czas w barakach w bezczynności, z narażeniem siebie na niebezpieczeństwo wybuchu epidemii a rządu na znaczne koszta, połączone z ich żywieniem. Ubolewać należy, że rozporządzenie to nastąpiło raptownie i ma być stosowane bezzwłocznie, tak iż niema możności zawiadomienia o niem tych rodzin włościańskich, które zdecydowane na wyjazd do Parany, lada dzień mają wyruszyć w drogę. Natomiast w dalszym ciągu trwać będzie bezpłatny przewóz emigrantów do stanów brazylijskich Minas Geraes, Sta Catharina i Rio Grande do Sul. Z prowincyi tych dla osadników polskich stosunkowo najlepiej nadaje się Rio Grande do Sul (główny port nosi to samo miano, stolica zaś stanu nazywa się Porto Allegre), gdzie warunki klimatyczne są takie same jak w sąsiedniej Paranie, liczba polskich mieszkańców wynosi przeszło 20.000 i są już większe polskie kolonie rolnicze.

Zagadki do nagrody.

1. REBUS.

(Ułożył Franciszek Marzec)

role | łąki | ugory | cy 100 ja | y y y y y y y / y malinowy y / y cytrynowy y / y y y y y y y | o u dów/ro | e e e / e e e / e e e | E s J | czci | oooooo / o ści o / oooooo

2. SZARADA.

(Ułożyła Teodozya Nowak).

Trzecia z pierwszą, rolnik pługiem kraje;
Druga z trzecią do podpory staje;
Zaś samą trzecią, modny »sportowiec« za miłą uznaje
Całość, nawet w kościele, odgrodzenie daje.

3. SZARADA.

(Ułożył J. T. Tabaszewski).

Pierwsze z jedną literą drugiego,
Jest to nazwa korzenia gorzkiego:
Drugie wskazuje księżyca znamię,
Całość zaś ma miasta miano
Które przecież w Galicyi znajdziecie;
Jak zgadniecie książkę dostaniecie.

7. SZARADA.

(Nadesłał Paweł Tarasek z K.).

Pierwsze to miasto na Ukrainie,
Drugie i czwarte w towarach słynie.
A samo drugie i pół trzeciego
Zadanie ważne tworu każdego.
Trzecie, pół czwarte, czytane razem,
To jest u wozu, a jest żelazem,
A samo drugie jest w alfabecie.
Całość to miasto w szerokim świecie.

5. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Franciszek Smołucha).

Był, bo, che, cier, gdy, i, ję, kto, ka, łem, łem, łem, mi, mi, mi, ni, nie, o, pia, pła, szla, tny, tny, wa, wa, z, z, ży.

Z powyższych zgłosek ułożyć piękne słowa, które napisał Juliusz Słowacki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 21 październ. 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nru 42 *Roli*: 1. Łamigłówka: **Kraszewski.** 2. Szarada: **Belgrad,** 3. Łamigłówka: **Albania,** 4. Szarada: **Mamałyga,** 5, Kwadrat magiczny: **Tlen, lato, eter, nora,** 6. Zagadka: **Grad - targ.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Ach witajże »Rolo!« cóż mi niesiesz w darze?
Pewnie stek zagadek do rozwiązywania,
Ja zawsze piszę z Maćkiem Bzdurą w parze,
Bom kontent bardzo jest z jego gadania!
A więc do dzieła! Już to poraz trzeci,
Sławny Kraszewski do »Roli« się wkrada;
Teraz myśl moja aż w Babilon leci
Powitać Bela, co lud mu hołd składa.
Zaś z Babilonu płynę do Belgradu,
To znowu na wschód do Albanii sławnej,
Chociaż ta podróż jest mi nie do składu,
Lecz zadość czynię tej »Roli« zabawnej.
Po takiej podróży smaczna mamałyga,
Każdy mi to przyzna, zwłaszcza hajdamaka,
Zajada ją chciwie, gdy mu głód dolega,
Ja tymczasem kwadrat rozwiążę magika:
Że żyć bez tlenu człek chwili nie może,
Wiem doskonale. Drugie słowo lato,
Eter znów chemik w powietrzu dostrzeże,
Nora dla myszy jest dobrą komnatą.
Dużo grat w kuchni gosposi się przyda,
By podać zdrowe, wyborne potrawy,
Na targu kupi towarów, gdy bieda,
Zresztą dość na dziś dla niego tej zabawy!
Róbcie tak, proszę, dobrzy Redaktorzy,
By mi w udziale książka się dostała,
Bo przecież ja wiem, że Wy dawać skorzy,
Zaś kurka grzebie, by coś wygrzebała.

Franciszek Zdeb.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

Jędrzej Czarnik z Rz., Mateusz Zięba z O. b., Wojciech Idzik z B., Jan Wołek z B., Zygmunt Kobylański z M., Adela Bezokówna z K. M., Jan Burghardt z S., Franciszek Dziadek z W. G., Karol Wardas z R., Jan Wojnar z M. G., Jan Bożek z J., Marya Radlmesserówna z S., Józef Pękala z H., Jan Bobrowski z O., Jan Brzeziański z K., Adam Warchoł z Z., Jan Kozioł z S., Józefa Hirszberg z K., Franciszek Klocek z N., Marya Gröllowa z M.. Dominik Stesłowicz z W., Wawrzyniec Pietrucha z Rz., Karol Baron z P., Wawrzyniec Potoczny z H., A. Irecki z G., Zygmunt Bogdański z I., A. J. Było z M., Anna Żebrok z B., Fr. Teper z M. K., Arkadyusz Szarek z S. W., Zofia Pawłowska z Z., Kalityński Władysław z P., Kazimierz Szeliga z B., Koło Macierzy szk. z S., Jan Kajzer z J., Józef Urbaniec z J., Jan Słowik z D., Konstanty Pietrzykowski z K., J. Kobylański z C., J. Czader z J., J. Kulka z B. (wierszem), J. Rosochowaciecki z R. (wierszem), H. Łukawski z J., Adam Zieliński z M.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Filotea*** wylosował p. **Jan Słowik** z D., zaś drugą p. t. ***Pamiętniki uczni angielskich*** p. **Wawrzyniec Potoczny** z W.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Karol Powroźniak w S.: »Żywot gospodarza poczciwego« dobry — wydrukujemy. Prosimy bardzo listy grubsze opłacać po 20 hal. gdyż poczta każe sobie dopłacać a my nie chcemy takich listów przyjmować. Może się więc zdarzyć, że jaki cenny utwór w ten sposób przepadnie. — Władysław Wołowiec w S: Nadesłaną nam humoreskę umieścimy. — Cupryś Stefan: Nagrody konkursowe będę umieszczone w numerze 52 »Roli«. Za pochlebne słowa szczerze jesteśmy wdzięczni: »Małżonka, jakich wiele« wkrótce będzie w »Roli«. Kazimierz Tokarski w W.: Wesołe opowiadanie o pojedynku umieścimy. Wiersz dla nas miły, ale drukowanie go z pewnych względów obecnie niemożliwe — Paweł Tarasek w K.: Zagadki otrzymaliśmy, umieścimy. — Józef Jarmuła w Z.: Dziękujemy srrdecznie za nadesłane prace. Jantek z Bugaja: Listy nasze rozminęły się. Na życzenie zgadzamy się i łączymy serdeczne pozdrowienia. — Władysław Kisała w K.: Nadesłane wiadomości w numerze. — Franciszek Marzec w W.: Bardzo nam przykro, żeśmy nadesłanego, ładnego wiersza umieścić w dzisiejszym numerze nie mogli, ale był on w chwili nadejścia wiersza już prawie cały złożony. Zachowamy go więc do Kalendarza na r. 1913. — Henryka Zwilling w T.: Będziemy pamiętać, aby życzeniom stało się zadość — Antoni Haśkiewicz: Życzymy Panu szczęśliwego losu, który nie jest od nas zależnym. — Michał Szczepankiewicz: Uznanie Pana dla »Roli« bardzo nam jest miłe. — Piotr Bodzęta z M.: Wysłaliśmy Kalendarz Panu w piątek. Cieszy nas, że Pan czeka z upragnieniem piątku, a z nim »Roli«. — Michał Bajurny w D.: Współczujemy tęsknocie Pana za ojczyzną. Oby Panu jak najprędzej przeminęły te lata spędzane między obcymi. Rozumiemy dobrze, jak miłą musi być Panu »Rola« przynosząca z sobą wieści z kraju, pisane tą ukochaną nam wszystkim mową. Chcielibyśmy dla wszystkich Czytelników na obczyźnie być pociechą, osłodą i nicią łączącą ich z krajem. — Leopold Cipcia w S.: Kalendarz wysłaliśmy w sobotę, jeżeliby Pan nie otrzymał, prosimy natychmiast zareklamować. Zdaje nam się jednak, że kartka minęła się z Kalendarzem w drodze — Jan Styś w S.: Wspólnej fotografii członków naszej Redakcyi nie mamy, gdy będziemy mieli, umieścimy w »Roli«. — Jan Bylica w P.: Zagadki umieścimy. Rozwiązanie musiało gdzieś przepaść. Prenumeratę dla p. Z. W. otrzymaliśmy i dziękujemy. — Antoni Wrona w H.: Kalendarze owe jeszcze nie wyszły z druku. Adres: Księgarnia Wojnara Kraków, ul. Szewska. — Fr. Smołucha: Nadesłane rzeczy wydrukujemy.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

Wit Bil z R. 2 K. — Stanisław Łoś z W. 1 K. — Jan Karok z Z. 2·50 K. — Jan Jaskier z F. 1 K. — Antoni Stec z C. 2 K. — Jakób Jabłoński z M. 1 K. — Michał Słomba z K. 1 K. Wawrzyniec Bryndza z M. 2 K. — Michał Widlarz z Ch. 1 K. — Jonkisz Franc. z B. 1 K. — Franciszek Zbijowski z B. 1 K. — Walenty Wójcicki z N. 1 K. — Franciszek Kyrcz z B. 2 K. — Prade Józef z L. 1·12 K. — Zygmunt Miętus z M. 1 K. — Wojciech Kuziora z D. 2 K. — Marcin Karwan z S. 2 K

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 24 paźdz.

Pszenica	Kor.	12·—	do	12·40	za 50 kg.
Żyto	„	10·15	„	10·65	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·50	„
Owies	„	8·90	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	6·90	„	7·—	„
Otręby żytnie	„	6·90	„	7·—	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 24 października:

Buhaje	Kor.	200	do	300	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	175	„	282	„
Jałówki	„	160	„	248	„
Cielęta	„	30	„	90	„
Owce i kozy	„	20	„	33	„
Świnie (bita waga)	„	136		152	za 50 kg.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego